T R Z E Ź W O Ś Ć

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY, POŚWIĘCONY SPRAWIE WALKI
Z ALKOHOLIZMEM I ODRODZENIA NARODU.
ORGAN POLSK. T-WA WALKI Z ALKOHOLIZMEM „TRZEŹWOŚĆ“,
ABSTYNENCKIEJ LIGI KOLEJOWCÓW,
KOŁA LEKARZY ABSTYNENTÓW
i WILEŃSKIEGO TOWARZYSTWA WALKI Z ALKOHOLIZMEM
i INNYMI NAŁOGAMI „MENS“.

Pod redakcją JANA SZYMAŃSKIEGO.

Nr. 10 — PAŹDZIERNIK 1935 — Rok X

Za dwa lata ma się odbyć w Warszawie Międzynarodowy Kongres Przeciwalkoholowy. W celu nawiązania uprzedniego bliższego kontaktu pomiędzy zagranicznym ruchem przeciwalkoholowym, a naszym — zwróciliśmy się do szeregu najwybitniejszych działaczy przeciwalkoholowych zagranicą z prośbą o współpracę z nami.

Jesteśmy szczęśliwi, że inicjatywa nasza znalazła żywy oddźwięk.

P. Minister Ruys de Beerenbrouck, Prezes Senatu holenderskiego, Przewodniczący Światowego Związku Przeciwalkoholowego, nadesłał nam łaskawie „apel“, który niewątpliwie stanie się hasłem — i pobudką dla wspólnej zgodnej i wytężonej pracy przygotowawczej do międzynarodowego przeglądu sił, walczących o lepsze jutro ludzkości.

Wysokie stanowisko polityczne Autora — najwyższe w szeregach walczących z alkoholizmem — nadaje szczególne znaczenie Jego słowom.

RED.

A P E L

ZACIEŚNIJMY SZEREGI!

OKOŁO DWU LAT DZIELI NAS OD MIĘDZYNARODOWEGO KONGRESU PRZECIWALKOHOLOWEGO, KTÓRY ODBĘDZIE SIĘ WE WRZEŚNIU 1937 R. W WARSZAWIE, PIĘKNEJ STOLICY POLSKI.

W CZASACH OBECNYCH WALKA NASZA JEST BARDZIEJ NIEZBĘDNA NIŻ BYŁA KIEDYKOLWIEK.

NARODY CAŁEGO ŚWIATA SĄ WSTRZĄSANE KRYZYSEM EKONOMICZNYM, RÓWNOLEGLE BIEGNĄCYM Z KRYZYSEM DUCHOWYM.

OFIARĄ BEZROBOCIA PADA PRZEDEWSZYSTKIEM MŁODZIEŻ.

SIŁY OPORU POSZCZEGÓLNYCH JEDNOSTEK ZMNIEJSZAJĄ SIĘ WE WSZYSTKICH KLASACH SPOŁECZNYCH.

MY, PRZECIWNICY ALKOHOLU Z CAŁEGO ŚWIATA POWINNIŚMY PRZEDEWSZYSTKIEM PRZYJŚĆ Z POMOCĄ NIESZCZĘSNYM OFIAROM ALKOHOLIZMU, BĘDĄCEGO JEDNĄ Z „RADOŚCI“ DNI NASZYCH.

WZMACNIAJMY NASZE ORGANIZACJE!

ZACIEŚNIAJMY SZEREGI!

RUYS DE BEERENBROUCK.

Haga, w październiku 1935.

ALKOHOL, A ZWYRODNIENIE RASY.

(Wykład wygłoszony w lwowskiem Radjo dn. 28 lutego 1935 r.).

Wśród chorób, trapiących ludzkość, są takie, które powstają w drodze odziedziczenia z rodziców i dalszych przodków odpowiednich zawiązków chorobowych. Możnaby je wobec tego nazwać chorobami rodowemi, a zrozumiałą jest rzeczą, że wzmożenie się ich ilościowe, pociąga za sobą obniżenie wartości całego plemienia, czyli t. zw. zwyrodnienie rasy. Nauka stara się określić, które to choroby mają charakter dziedzicznych, a t. zw. eugenika szuka środków zaradczych przeciw ich występowaniu. Zachodzi więc pytanie, czy alkoholizm stanowiący swojego rodzaju również chorobę, jest właśnie takiem schorzeniem, które w drodze dziedziczności przenosi na potomstwo alkoholików zawiązki chorobowe, czy zatem alkoholizm jest istotnie czynnikiem zwyrodniającym rasę?

że u pijaka występują w ustroju zmiany, które wywołują u niego zwyrodnienie osobiste tak pod względem cielesnym jak i psychicznym, rzecz to powszechnie wiadoma. że dzieci alkoholików znajdują się w bardzo niekorzystnych warunkach życia, które wpływać muszą ujemnie na ich stan zdrowia, oraz ich rozwój intelektualny i moralny, tego również nie potrzeba udowadniać. Natomiast twierdzenie, że alkoholizm ponadto staje się czynnikiem szkodliwym dla dalszych pokoleń przez wprowadzenie do t. zw. plazmy zarodkowej odziedziczalnych zawiązków chorobowych, wymaga bliższego zbadania i uzasadnienia.

Aby wykazać, że alkoholizm ma takie właśnie działanie, zwrócono się już oddawna do badań statystycznych nad drzewami genealogicznemi pijaków. Zestawiono mianowicie cyfrowo rozrodczość alkoholików, śmiertelność i chorobliwość ich potomstwa, a przedewszystkiem ilość w niem przypadków różnych schorzeń i nienormalności psychicznych, porównując te obliczenia ze stosunkami w rodzinach trzeźwych, znajdujących się w podobnych warunkach życiowych. Badania takie nie są bynajmniej łatwe. Zebranie potrzebnych szczegółów rodzinnych i to z ciągu kilku pokoleń, przedstawia niemałe trudności, zwłaszcza, że idzie tu przeważnie o rodziny z warstw niższych, nieinteresujących się losami swych przodków czy potomków, bezpośrednia zaś obserwacja nie może wyjść poza dwa lub trzy pokolenia, gdyż na tyle zaledwie wystarczy życie samego badacza. Dlatego też w najnowszych czasach dąży się, mianowicie w Niemczech, do zorganizowania dla badań nad dziedzicznością ludzką odpowiednich instytucyj czy urzędów, któreby systematycznie sporządzały karty rodzinne dla mieszkańców wogóle, a zwłaszcza dla takich rodzin, w których pojawiły się przypadki schorzeń uznanych za odziedziczalne. W pracach nad alkoholizmem znajdują się dość liczne zestawienia genealogiczne rodzin pijackich, obejmujące nawet kilka pokoleń, zebrane żmudną pracą badaczy. Z zestawień tych wyczytać można, że wśród potomstwa alkoholików panuje ogromna śmiertelność w pierwszych latach życia dzieci, a nadto występują w niem bardzo liczne przypadki chorób i zboczeń psychicznych, między niemi i nałogowego alkoholizmu, dalej różne anomalje cielesne, przestępstwo, samobójstwo i t. p., przyczem w porównaniu z potomstwem rodzin niepijackich, przypadki takich anormalności pojawiają się wśród potomstwa alkoholików w liczbie nieraz o kilkadziesiąt procent większej. Również

badając pochodzenie dzieci psychicznie nienormalnych, pomieszczonych w odpowiednich zakładach lub odrębnych szkołach, można było wykazać w ogromnej ilości, bo prawie w połowie przypadków, alkoholizm u ich rodziców. Należy jednak zauważyć, że nie wszystkie zestawienia tego rodzaju dały takie właśnie wyniki. W pracach nowszych, podejmujących to samo zagadnienie, niektórzy badacze nie mogli stwierdzić tego rodzaju stosunków tak, że sprawa ta nie może być bynajmniej uważana za rozstrzygniętą i wymaga jeszcze dalszych badań, opartych na metodach ściślejszych i na wielkich cyfrach, które w podobnych pracach statystycznych są konieczne.

Co więcej jednak, gdybyśmy nawet przyjęli, że takie zwyrodnienie potomstwa alkoholików okaże się rzeczywistością, to jednak okoliczność ta nie stanowi jeszcze dowodu, że alkohol istotnie jest czynnikiem, który w drodze dziedziczności uszkadza następne pokolenia. Okazało się bowiem, że alkoholizm pojawia się najczęściej u osobników dotkniętych już pewnemi wadliwościami centralnego układu nerwowego, które obok innych objawów wyrażają się właśnie w szczególnym pociągu do alkoholu i właściwem nań oddziaływaniu. Stany zaś takich nieprawidłowości nerwowo-psychicznych stanowią w myśl odnośnych badań istotny czynnik dziedziczny, przekazywany z pokolenia na pokolenie. Nasuwa się przeto wniosek, że nie alkoholizm rodziców uszkadza plazmę zarodkową i wprowadza do niej ujemny składnik dziedziczny, lecz że potomstwo pijaków odziedzicza tylko tę mniejszą wartościowość psychiczną, która następnie wyraża się w występowaniu w niem licznych schorzeń i anormalności.

W dalszym też ciągu przystąpiono do rozważania tego skomplikowanego zagadnienia na innej drodze, a mianowicie zwrócono się do badań czysto biologicznych, a zwłaszcza do eksperymentów na zwierzęciu.

Nie ulega wątpliwości, że alkohol, rozchodząc się przez krew po całym organizmie, dostaje się do wszystkich komórek i wywołuje w nich pewne zmiany. Komórki rozrodcze, a więc plemniki męskie i jajka żeńskie nie mogą w tym względzie stanowić wyjątków i ulegają też szkodliwemu działaniu alkoholu. Przeprowadzono też szereg badań mikroskopowych na gruczołach płciowych męskich, pochodzących od pijaków i wykazano w nich poważne zmiany w komórkach, z których wytwarzają się plemniki i w samych plemnikach, a podobne wyniki otrzymano też przy badaniu jąder alkoholizowanych zwierząt. A w tych to komórkach płciowych, plemnikach i jajkach zawarta jest właśnie plazma zarodkowa, mieszcząca w sobie wszystkie zawiązki dziedziczne. Jeżeli więc nadwyrężona przez alkohol komórka rozrodcza znajdzie się w warunkach prowadzących do zapłodnienia, to — o ile wogóle z powodu swego stanu będzie do tego zdolna — powstały stąd zarodek może okazać się wadliwy i dać początek istocie w tym, lub owym kierunku upośledzonej. Fakty takie niewątpliwie się zdarzają, ale i one same przez się nie dowodzą jeszcze bynajmniej, że w danym przypadku uległa zmianie sama plazma zarodkowa, że więc w niej powstały nowe o charakterze ujemnym zawiązki dziedziczne, które odtąd przenosić się będą na dalsze pokolenia. Możliwem jest bowiem, a nawet prawdopodobnem, że sama plazma zarodkowa pozostanie nietknięta, a wobec tego szkodliwość alkoholizmu rodziców odbije się tylko wśród niektórych potomków pierwszego poko-

lenia. O ile więc rodzice pijacy nie są poza alkoholizmem dotknięci innem odziedziczalnem zboczeniem, ograniczyć się mogą skutki alkoholu tylko na bezpośredniem potomstwie. Na takiem właśnie stanowisku stoją niektórzy badacze, zachowujący w sprawie uznania alkoholu za czynnik uszkadzający plazmę zarodkową, rezerwę aż do czasu ewentualnego znalezienia dowodów na twierdzenie przeciwne.

Dowodów tych zaczęto poszukiwać na drodze eksperymentów na zwierzęciu, które oddawna służą do badań nad dziedzicznością wogóle i przynoszą na tem polu wyniki, dające się z pewnemi zastrzeżeniami przenieść i na człowieka. Zwierzętami użytemi do doświadczeń były króliki, świnki morskie, szczury, a przedewszystkiem białe myszki, które się mnożą szybko i obficie, tak, że w stosunkowo krótkim czasie można obserwować cały szereg pokoleń. Prac tego rodzaju jest już sporo, wśród nich wybijają się prace badaczki niemieckiej Agnieszki Blum, dążącej niestrudzenie do wykazania, że alkohol uszkadza plazmę zarodkową, i wprowadza do niej nowy chorobowy zawiązek dziedziczny. Ostatnie jej z przed paru laty pracowicie przeprowadzone doświadczenia obejmują 32.000 białych myszek, obserwowanych w 8 generacjach. Alkoholizowała ona mianowicie pewną ilość samców i następnie łącząc ich z samicami normalnemi, a później łącząc i krzyżując w różny sposób osobniki następnych pokoleń, studjowała ich właściwości w porównaniu z odpowiedniemi pokoleniami myszek pochodzących z pnia niezalkoholizowanego. Wyniki tych badań są bardzo zajmujące i subtelne, przynoszą też one sporo materjału naukowego, oświetlającego dane zagadnienie. Wielu badaczy uważa je wprost za rozstrzygające ostatecznie sprawę zmiany plazmy zarodkowej przez alkohol, są jednak inni, zdania przeciwnego, a na ten temat toczy się obecnie dość żywa polemika pomiędzy uczonymi. Nie jesteśmy więc jeszcze dotychczas u kresu zagadnienia, ale droga do dalszych badań jest otwarta i można mieć nadzieję, że łącznie z badaniami nad dziedzicznością wogóle i ten ważny problem, dotyczący działania alkoholu na zawiązki dziedziczne znajdzie pełne rozwiązanie.

Stojąc wszakże na stanowisku, że dotychczas niema jeszcze stanowczych dowodów na zwyrodniające działanie alkoholu na plazmę zarodkową, a zatem na całą rasę, nie możemy z drugiej strony zaprzeczyć, że takie działanie istnieje, przeciwnie, wiele danych, jak wykazano wyżej, za tem przemawia i na podstawie empirji wniosek, iż alkohol jest czynnikiem zwyrodniającym rasę, jest już obecnie dopuszczalny i może stanowić podstawę do odpowiednich poczynań z zakresu eugeniki.

Gdyby się jednak nawet okazało, że alkoholizm nie jest tak dalece zgubnym czynnikiem w odniesieniu do dalszych pokoleń alkoholisty, to jednak te szkody, które on niewątpliwie wyrządza dla samych pijaków i przynajmniej dla pierwszego bezpośredniego ich pokolenia są tak wielkie, że uważać go się musi jako zło społeczne, jedno z największych, z którem walka jest obowiązkiem całego społeczeństwa.

Lwów. *Prof. Dr. W. Sieradzki.*



Dr. Paul Dauphin.

SPORT I ALKOHOLIZM.

Odczyt, wygłoszony dn. 3.IX. 1935 w Montreaux [1]).

Panie i Panowie!

Mam zaszczyt przemawiać na tem miejscu z racji, że jestem jedynym Francuzem, przedstawicielem lekarzy abstynentów z krajów języka francuskiego.

---

[1]) P. Dr. Paweł Dauphin, lekarz w Arles nad Rodanem w południowej Francji jest jedną z czołowych postaci ruchu przeciwalkoholowego swego kraju. Jest on uczniem znakomitego i czczonego dra Legrain'a, wybitnego psychjatry, przewódcy ruchu walki z alkoholizmem we Francji. Dr. Dauphin współpracuje z dr. Legrain'em w wydawaniu „Annales antialcooliques" i redaguje „Biuletyn Związku Lekarzy Abstynentów". Jest on również autorem szeregu publikacyj z zakresu alkoholizmu, jak np. „Leczenie alkoholików i alkohol jako środek terapeutyczny", „Owoce — pożywienie", „Antyalkoholizm i zagadnienie Pasteura".

Dr. Dauphin jest sekretarzem „Związku Lekarzy Abstynentów krajów języka francuskiego", członkiem Międzynarodowego Zakonu Dobrych Templarjuszy, delegatem francuskim do Sekcji Europejskiej Światowego Związku Przeciwalkoholowego.

Od lat 15 prowadzi energiczną walkę z alkoholizmem na terenie swego kraju, przedewszystkiem rozwijając ożywioną akcję propagandową — uświadamiającą o zgubnych skutkach alkoholizmu. Oprócz całego szeregu wykładów i odczytów z zakresu walki z alkoholizmem w przeróżnych miastach i miasteczkach Francji, Dr. Dauphin organizuje już od trzech lat w Arles podczas zimy systematyczny, bezpłatny Kurs alkohologji.

Wiedząc, ile prawdziwego bohaterstwa trzeba, by prowadzić tego rodzaju akcję w kraju tak rozmiłowanym w winie, jak Francja, składamy p. Drowi Dauphin wyrazy najszczerszego podziwu i uznania dla Jego działalności.

Wyrażamy nadzieję, że p. Dr. Dauphin, wraz ze swą Szanowną Małżonką, będzie naszym miłym i pożądanym gościem w Warszawie na Kongresie w 1937 r.

Red.

Zasłużony i drogi nasz dyrektor Międzynarodowego Biura do walki z alkoholizmem, p. Hercod pragnie zapewne wykazać tym, którzy zostali poniekąd zdezorjentowani niedawno odbytą propagadną wina w Lozannie, że nie wszyscy lekarze francuzcy, ani nawet nie wszyscy lekarze z południa znajdują się w szeregach ruchu, faworyzującego wino. Tak się składa, że jestem przedstawicielem południowej Francji, gdzie intensywnie prowadzona kultura winogron, służących wyłącznie do produkcji wina, w okresie kryzysu, wywołała konieczność ożywionej propagandy wina ze strony lekarskiej, jako napoju o wysokiej wartości odżywczej.

Słyszeliśmy z ust naszych szwajcarskich kolegów jasny, kategoryczny protest przeciw mianowaniu wina napojem higjenicznym. Jakież racje przemawiają za tem, by winu odmówić wszelakich właściwości dodatnich na organizm ludzki? Otóż przedewszystkiem te, które utwierdzają nas w przekonaniu, że alkohol jest trucizną. Gdyż wbrew temu, co z taką odwagą twierdzą miłośnicy wina, alkohol w winie i alkohol etylowy napojów dystylowanych różni się tylko stopniem rozrzedzenia, stopniem rozcieńczenia.

A wśród argumentów, które przytaczamy przeciw napojom fermentowanym, lub destylowanym, sądzę, że najbardziej przekonywującemi będą te, które wykazują ujemny wpływ na właściwości, niezbędne do osiągnięcia najwyższej sprawności sportowej.

Muszę przeprosić, że zabieram głos w sprawie sportu, widząc dookoła ludzi o wielkim autorytecie — że wymienię tylko p. dyr. Hercod, którego kompetencja w zakresie zagadnienia nas tu obchodzącego jest znana powszechnie, Dr. Gachot znawcę wszystkich rodzai sportu—naszego kolegę dra Ernesta Gabriela z Wiednia — p. Noël Nye, który wydał pracę o sporcie, doskonale oświetlającą całokształt tej sprawy.

Skłania mię do tego konieczność popularyzowania, którego nigdy nie jest za wiele, pewnych ustalonych poglądów, znajdujących swój wyraz w odnośnej literaturze, a mogących służyć propagandzie przeciwalkoholowej. Jak wreszcie można nie mówić o sporcie obok wspaniałej instytucji Vidy [1]), rozwijającej się pod wpływem wychowawczym pani Krähenbühl[2]), której i my w tej chwili gośćmi jesteśmy, a której troską jest, aby nie tylko sportowcy byli ludźmi trzeźwymi, lecz by nie używali alkoholu i ci, którzy biorą udział w życiu sportowem, jako widzowie.

Istnieje łączność między tem, co tu widzimy, a uwagą uczynioną przez lekarza francuskiego, znakomitego znawcę sportu dra Bellin du Coteau, stwierdzającą, że „sport jest dziś w okresie pełnego rozkwitu. Mamy na to wiele dowodów, jednym z nich jest wielka ilość barów sportowych, kawiarń sportowych, zdobiących każdą większą wieś". Dr. Bellin du Coteau potępia alkohol bez żadnych skrupułów — alkohol według niego jest nawet nieskuteczny dla dopingu—podkreśla całą rozbieżność i przeciwstawność między sportem, a alkoholizmem.

---

[1]) Są to ogromne tereny sportowe w Ouchy - Lausanne.

[2]) Pani Krähenbühl, założycielka i dyrektorka hotelu bezalkoholowego Helvetie w Montreux, posiada przywilej wyłącznej sprzedaży produktów spożywczych na znacznym obszarze, obejmującym również tereny sportowe Vidy, a taki przywilej zabrania na tym terenie powstania jakiegokolwiek zakładu, sprzedającego napoje alkoholowe.

Nie mniej kategorycznym jest sąd dr. Filipa Tissié, który był prezesem Ligi francuskiej wychowania fizycznego. Powiada on: „alkohol należy usunąć całkowicie z turystyki i wychowania fizycznego“.

Tego samego jest zdania dr. Feliks Regnault w odniesieniu do kolarstwa — doktorzy Bortolotti, Gino Fabro, Antonio di Podesta w stosunku do alpinizmu. Również dr. Malvitz z Berlina, Dr. Ernest Gabriel z Wiednia, Dr. Paweł Carton, pisarz francuski najbardziej autorytatywny z zakresu przyrodolecznictwa, i dr. Legrain wielki antyalkoholik francuski.

Oni wszyscy jednomyślnie stwierdzają, że alkohol jest wrogiem sportu.

Możemy się poszczycić długą listą sportowców, których obserwacje całkowicie potwierdzają opinje wypowiedziane przez lekarzy.

Począwszy od kolarzy: Garin, Terront, Lesna, Franciszek Faber, Georget, Berthet, Brocco, Hourlier, Cramer i t. d.; biegacze: Mutroh, dr. Ruffier, Poulain, Ellegaard, Guignard, Contenay, Dupré, Serès, Rutt, Clarcke, Maspoli, Jacquelain, Major Taylor, Joureau, Ragueneau, Versel, Darragon, Jean Bouin i sławny Finlandczyk Paavo Nurmi, dr. Peltzu, William Ritola, Tatu Kohlemainem, amerykanin Paddock; piechurzy: Mann i pięćdziesięcioletni Linder; pływacy: Webbs, Gertruda Eberle, Jerzy Jung, Gosh, siedemdziesięcioletni Daniel Wiedemann; bokserzy: Jack Dempsey, Jim Jeffries, Gene Tunney, Kackensmitt, Youssouf, Kara Hamel, Hourlah; dyskobole: Winter, tennisiści: Andrzej Gobart, Tilden, Lenglen; najsilniejszy człowiek świata Karol Rigoulot; nie biorąc nawet już pod uwagę finlandzkich atletów, ani też mistrzów w strzelaniu i szermierce, a kończąc na tych, których wysiłki są wprost nieprawdopodobne w swej wytrwałości i w harcie — powietrzni bohaterowie, jak Lindberg, Victor Smith, Piccard, Max Cosyns i ten samotny nad falami Atlantyku Alain Gerbault, — oni wszyscy jednogłośnie stwierdzają wszystkie dodatnie strony nie używania alkoholu i głoszą, że alkohol bynajmniej nie daje pozytywnych wartości jednostce w okresie ćwiczebnym.

Lecz wszystkie te świadectwa indywidualne, których powyższe wyliczenie jest bardzo niekompletne, znalazły potwierdzenie w Finlandji, gdzie czyniono doświadczenia zbiorowe nad drużynami sportowemi — doświadczenia te prowadzone były z naukową ścisłością.

Doświadczenia Frey‘a, Bern‘a, Hellsstein‘a, Dürig‘a, Dodge‘a ,Benedict‘a, Miles‘a, Gillenswärd‘a, Vernon‘a, Kraepelin‘a i uczni jego Töttermann‘a, Smith‘a, Blix‘a, Ottona Grafa wykazały, że alkohol pomniejsza intensywność pracy w miarę, jak praca ta wymaga bardziej precezyjnej koordynacji wysiłku mięśniowego z systemem nerwowym; że alkohol usuwa początkowo poczucie zmęczenia, które jest wyrazem instynktu samozachowawczego organizmu; hamuje zdolności odruchowe; narusza poczucie orjentacyjne w rękach, oraz upośledza sprawność ruchów; osłabia władze umysłowe, zdolności zastanawiania się, uwagę, pamięć i przedłuża czas reakcji.

Oto wszystko, na czem głównie polega fatalny wpływ alkoholu na organizm ludzki: niszczy on te wszystkie wartości, które posiadać winien w pierwszym rzędzie ten, kto pragnie osiągnąć rekordy sportowe, lub dojść do pełnego rozwoju władz umysłowych i fizycznych. To są do-

stateczne powody, dla których potępiamy alkohol bezsprzecznie i bezapelacyjnie.

Wszystkie nasze rozległe plany i zamierzenia, zarówno w dziedzinie sportowej, jak i w każdej innej, powinny jednocześnie nosić w sobie dążenie do coraz to intensywniejszego doskonalenia się, mającego na celu nie tylko dobro własne, lecz i bliźnich naszych i przyszłych pokoleń.

Alkohol nas zubożа, pomniejsza nasze możliwości. Alkohol nawet w najmniejszych dawkach, czy to w postaci destylowanej, czy fermentowanej, jak to już zostało chyba dostatecznie udowodnione, obniża nasze siły potencjalne, degraduje nas indywidualnie i społecznie.

Sądzę, że każda religja, każda etyka winne uznać istnienie powszechnie obowiązującego nakazu nieszkodzenia innym.

I proszę, by Panie i Panowie zechcieli z tego krótkiego przemówienia wynieść przeświadczenie o szkodliwości alkoholu dla sportu.

Arles sur Rhône. *Dr. Paul Dauphin.*

Przekład Hanny Nałęcz-Ostrowskiej Szymańskiej.

ICH SŁUGA...

Gdy strącono aniołów pysznych do Hadesu,
złość straszliwa, szatańska ogarnęła biesów.
Aby Dobru i Prawdzie zgotować zagładę
pod wodzą Belzebuba odbyli naradę:
„Mamy kusić ród ludzki, zwodzić, bałamucić,
siać rozterki, nienawiść, podjudzać i kłócić,
paczyć ludzkie umysły, złe instynkty budzić,
pchać ludzi do obłędu, tumanić i łudzić,
rozbijać ich rodziny wbrew prawu, przysiędze,
szerzyć rozpacz, choroby, niedolę i nędzę...“
— Toż to praca olbrzymia, wysiłek szalony —
szepnęli wszyscy djabli. — By otrzymać plony,
musimy w ciężkim trudzie pracować wieczyście.
— Pracować? — rzekł Belzebub — No tak, oczywiście.
— Nie — odparł arcyszatan — podczas dnia i nocy
musimy jakąś siłę zdobyć do pomocy,
jakiegoś sprzymierzeńca naszych czarcich planów,
co byłby pomocnikiem i sługą szatanów,
jakąś wieczną do zbrodni wynaleźć pobudkę“.
Piekło przyjęło wniosek i stworzyło — wódkę.

Stanisław Biernacki.

IDEA TRZEŹWOŚCI W POLSCE.

Ruch trzeźwości w Polsce, a i wogóle na świecie wśród ludów cywilizowanych, ma dwa cele na widoku: *etykę i zdrowie*, pozatem ma jeszcze dalsze cele, cele pochodne, to znaczy: gospodarcze, niemarnowania pieniędzy na rzeczy bezwartościowe, zbędne, niepotrzebne, szkodliwe, a do takich zalicza się przedewszystkiem alkohol pod wszelkiemi postaciami.

A więc cel 1-szy. Etyka. Lud prosty nazywa to *uczciwością* i mówi w przysłowiu: „siedzieć na karczmie i mówić o uczciwości", co znaczy: nie można ani mówić, ani myśleć o uczciwości, jeżeli dany osobnik czerpie środki do życia z nieuczciwego procederu. A tak określając proceder karczmarski, tem samem potępił wszelkie gorzelnictwo, które świadomie wytwarzając truciznę alkoholową, używało i używa t. zw. Karczem, jako punktów rozdzielczych, które mają za cel rozdzielanie trucizny-alkoholu pomiędzy pijących. A więc już sama wytwórczość i rozdział tej trucizny uznany został, i to na podstawie spostrzeżeń, za nieetyczny, nieuczciwy.

A dalej, pomimo stanowczego określenia sprzedaży, wytwarzania i rozdziału trucizny alkoholowej, jako nieuczciwości, istnieją gorzelnie i karczmy, i będą istniały tak długo, aż *ludzkość* i to w skali wszechświatowej uodporni się tak, że przestanie potrzebować trucizn alkoholowych pod wszelkiemi postaciami. Ale do tego jeszcze daleko. Tymczasem cierpi etyka, cierpi uczciwość, cierpi za winy chciwości jednostek, dla których zdobycie pieniędzy wbrew etyce jest możliwe, które nie odczuwają wstydu, gdy czerpią środki z zatrutego źródła, gdy są świadomymi *demoralizatorami* ludzi, bliźnich, braci.

W Polsce powojennej, w Polsce niepodległej widzimy, niestety, straszliwy zanik etyki, uczciwości, zanik poczucia odpowiedzialności za czyny, które występują przeciw etyce, zło wszelkiego rodzaju rozlewa się jak zaraza. *Brud i smród* widzimy i czujemy, przyglądając się naszemu życiu. Można i trzeba przypomnieć słowa napisane przez wielkiego filozofa Augusta Cieszkowskiego w jego dziele p. t. „Ojcze Nasz" (Dział pierwszy, str. 1), gdy pisze: „Święty Boże! Co się dzieje w świecie? Jakże uroczo — jakże obrzydliwie razem, zewsząd prawda się wykluwa, a kłamstwo wszędy, stroi się świat jakby na gody, przy pogrzebowem łkaniu głodzonych, lub mordowanych narodów. *Morze rozkoszy i ocean cierpienia*". A dalej pisze: „próżność się święci, a cnota próżnuje. Świeckie ramię zwszeteczniało, duchowne zgrubiało". Już blisko sto lat, kiedy to napisano. Nad Polską ówczesną, rozdartą przez zabory, rozciągała się czarna chmura niewoli. Świeże były jeszcze przewiny ciężkie przodującej klasy narodu i bardzo jeszcze naoczne, bo dotykalne były następstwa tych przewin: *niewola*. Na tę niewolę spędzono wszystko zło, jakie było, niewolę uważano, i słusznie, za przyczynę złego. Ale zmieniły się czasy. Od 17 lat mamy już Polskę wolną. Ani Rosjanie, ani Niemcy tu nie rządzą. Od lat 8-iu mamy w Polsce rządy „silnej ręki". Wymarzona, wyśniona, wymodlona i na ostatku wywalczona Polska jest, ale jaka? A gdzie w niej miejsce na etykę, na uczciwość? Oto „trudno tu o człowieka, któremuby można bez obawy powierzyć publiczne fundusze", więzienia przepełnione, a Sądy nie mogą nastarczyć sądzenia spraw

kryminalnych, *kryzys*, któremu niezmiernie pomagają: ciemnota mas-dołów i nizin społecznych, a zła wola i krótkowzroczność t. zw. góry, która *wierzy*, że kryminałem, policją, sądem, a w ostateczności siłą zdoła zapanować nad chaosem zła, które jest następstwem zaniku etyki, uczciwości, głównych wiązadeł życia społeczno-obywatelskiego. Syci tam, u góry, leją w siebie wykwintny alkohol, wina i t. p., doły zalewają robaka kryzysu „czystą", albo zgoła samogonem, lub denaturatem, a wszędzie wytwarza się błoto i wzrasta demoralizacja.

Złodziej, rabuś, oszust i wszelaki opryszek rabują na wódkę, sutener, dla którego pracuje prostytutka, także lwią część swoich „zarobków" przepija. „Odgórny" przestępca, co dużo nakradł, idzie „zadać szyku" do drogiej karczmy, pospolitak, ten mały, nizinny złodziejaszek, wali do szynku, aby zalać robaka, bo widać, że mu „robak sumienia" dokucza, a wszystko tonie w trunku, w kieliszku, w puharze, czy w kuflu. Tam też ginie człowieństwo nasze, nasz honor, etyka i uczciwość.

Pamiętam, jak na zjeździe Tow. Przyszłość w Warszawie w r. 1911, wybitna działaczka abstynentka z b. Galicji, przy zakończeniu Zjazdu mówiła: „*W niepodległej Polsce nie będziemy musieli walczyć z pijaństwem, bo w Polsce wszyscy będziemy trzeźwi*". Niestety, tak nie jest, przeciwnie, pijaństwo wgryza się w organizm narodu, a marna to pociecha, iż nie pije ten i ów, bo nie ma za co, bo *kryzys*.

Tymczasem stwierdzamy, że jest źle. Etyka powojenna, podlewana alkoholem, schnie. Gazety codzienne z obowiązku piszą o zbrodniach, aż do morderstwa, włącznie, popełnianych przez ludzi w stanie opilstwa, lub też w celu zdobycia pieniędzy na pijaństwo. Doły społeczne na gorzałkę, a t. zw. „wierzchy" społeczne na hulanki, połączone z piciem drogich trunków, rozpustą, grą w hazard i wszelkiemi nadużyciami.

Niedawno był u mnie gość z okolic, które znam dobrze. Pytałem go o ludzi młodych, których ojców znałem. Pytałem o pewnego młodego „ziemianina", ojciec jego był dobrym człowiekiem, pytam: a jakże p. X. z Z. — źle, odpowiada mój gość, pije, sam to mówi, wino szampańskie po 36 zł. butelka, papierosy pali po 15 gr. sztuka, a robotnicy, ludzie niezmiernie ubodzy, rok i dłużej muszą czekać na wypłatę marnego zarobku. A, no, idą czasy, a co one niosą? Kto to wie? Ludzkość, co niedawno przeżyła pożogę wielkiej wojny, a żyje przygotowaniami do nowej, która wre już w skwarach Afryki, gubi na drodze ku swojej zgubie etykę, cnotę i uczciwość, jako śmieszny balast. Polska, co tak ciężko zapłaciła za swoje winy przeszłości, Polska, co z płaczem śpiewała: „Ojczyznę, wolność racz nam wrócić, Panie!" — ta Polska nie może, czy nie umie, czy może nie chce otrząsnąć się ze zgubnych nałogów i nie może znaleźć drogi do odnowienia trzeźwego życia w wolnej Ojczyźnie.

Kryzys gospodarczy, jaki świat przeżywa, jest pewnego rodzaju chorobą. Tak jest! Powojenny stan ludzkości jest stanem chorobliwym, chorzy są starzy, bo oczy ich widziały straszliwe zbrodnie wojny, chorzy są ludzie dojrzali, ponieważ jako żołnierze pod ciężkim musem byli czynnymi aktorami w strasznej tragedji ludzkości, chorzy są młodzi, ponieważ są to dzieci wojny, a więc głodu, chłodu i przerażenia, wygnania, tułaczki i nędzy. Tu są przyczyny tej strasznej choroby. Ale zakończenie wojny niosło z sobą przemiany społeczne, stąd walka straszliwa dwóch światów, świata, co posiada i świata, co nic nie posiada. Sprzymierzeń-

cem świata posiadaczy, rozumie się, wielkich, jest alkohol: on niszczy i rujnuje świat pracy, on go rozbraja, znieprawia, on mu zabiera rozum, rozwagę, oraz moralne i fizyczne zdrowie. To trzeba uczciwie powiedzieć i to trzeba uczciwie napisać. Wszak dawno już nauka stwierdziła, że alkoholizm, że narkomanja, to choroby straszne, i nie tylko, że zaraźliwe, ale dziedziczne choroby. Toż mamy już lecznice dla takich chorych, Świack i Gościejewo; przybywa chorych, muszą powstawać lecznice. Tylko, czy te dwie lecznice pomieszczą wszystkich chorych alkoholików? Alkoholizm już sam jest chorobą, a prócz tego iluż i jakich chorób najrozliczniejszych jest przyczyną! Iluż ludzi nieszczęśliwych, gruźlików, rakowatych, z chorym przewodem pokarmowym i t. p. zawdzięcza swe choroby pijaństwu! Wiedzą o tem lekarze, zna je medycyna. Iluż to ludzi pomylonych, matołków, idjotów i szaleńców swoje upośledzenie zawdzięcza pijaństwu ojca, matki, lub dalszych przodków. Mści się obrażona przyroda, mści się straszliwie, i to na niewinnych — na dzieciach. Nauka, wiedza, ta, która w ciężkim mozole bada przyczyny chorób i szuka na nie skutecznych leków, która jest twórczością medycyny, a nie jej spożywcą, która leczy chorobę, ale z niej nie żyje, ta wiedza, ci lekarze orzekli, że alkohol jest przyczyną wielu cierpień, że jest zatrutem źródłem chorób, wrogiem zdrowia.

Czy można mówić o znaczeniu gospodarczem alkoholu? Trudno o tem mówić, trudno pisać, ale trzeba, trzeba dlatego, że przemysł gorzelniany, że gorzelnictwo, karczmarstwo, a nawet fiskalizm państwowy rad powołuje się na to, że wytwarzanie spirytusu jest wielkim czynnikiem dochodu gospodarczego, ponieważ przetwarza *tanie* surowce roślinne na wysokowartościowy *płyn-narkotyk-spirytus.*. Krótko: tanie produkty rolnicze przetworzone na spirytus stają się drogimi, ma na tem zarobić i rolnictwo i fiskalizm. I dziwna rzecz: oto czytamy, że w Brazylji zatopiono tyle to, a tyle centnarów kawy, w Kanadzie i w Argentynie spalono masę zbóż, tam znowu zniszczono bawełnę, gdzie indziej pomarańcze, winogrona, nawet mięso, nawet śledzie, nawet żywe świnie potopiono. Nie zdarzyło mi się nigdzie przeczytać, aby gdziekolwiek zniszczono alkohol, wino, likier, gorzałkę, piwo i t. p. Widocznie to wszystko ludzie, tylko ludzie (nawet świnie nie chcą pić alkoholu) wypili, — ha, trudno, kryzys. Widocznie, że ludziska wolą kupić „chleb w piwie", a żyto i kartofle w postaci gorzałki, a znowu winogronowy sok w postaci różnych win. Nic przeto dziwnego, że nie mają za co kupić taniego chleba, mięsa, kartofli, rodzynek i t. d. Zdaje się, że sprawa jest jasna: kto dużo pije, ten nie ma co jeść, ani się w co odziać. Spirytus pali bawełnę! I dopiero takie przeinaczenie nazywa się *„mądrą i racjonalną ekonomją"*.

Mówi się jeszcze, a i pisze, że przemysł alkoholowy zatrudnia ludzi, daje pracę robotnikom. Rozumie się, że ktoś tam musi umieć robić okowitę. Ba, — toż gdy na początku wielkiej wojny rząd rosyjski, co przez wieki rozpajał i zatruwał ludność swojego kraju, nauczony doświadczeniem wojny Japońskiej, do której przegrania *gorzałka i rum* sporo się przyczyniły i trzeźwi Japończycy pobili armję pijącą, nakazał zniszczyć zapasy spirytusu i zabronił wyrobu alkoholu, to bezrobotni gorzelnicy nauczyli chłopów wyrabiać *„samogonkę", który to przemysł utrzymuje się aż dotąd*. Więc prawdą jest, że przy wyrobie, sprzedaży alkoholu i t.

p. ludzie cośtam zarabiają, ale jest to praca *nieprodukcyjna*, niepotrzebna, owszem, tylko szkodę ludzkości przy dzisiejszem jego użyciu przynosi, albowiem trzeba i to jeszcze powiedzieć, że nie każda praca jest pożyteczna, nie każde zatrudnienie służy pożytkowi ludzkości. Prawdę tego twierdzenia widzimy dziś: mam na myśli przemysł wojenny. Mussolini zbroił się, pracował przemysł wojenny, a dziś koczują pod skwarem Afryki synowie słonecznej Italji, gdzie ich wypędziła wola dyktatury, aby mordować ludzi, co im nic złego nie uczynili. I państwo niemieckie ma olbrzymi przemysł wojenny, całe Niemcy, to wielka zbrojownia, to przeogromny skład wszelakiego sprzętu wojennego. A co daje ludzkości? Obecnie powszechny niepokój świata, powszechne naśladownictwo zbrojeń, a może już w niedalekiej przyszłości *„powszechną rzeź narodów"*. A przecież przemysł wojenny, wielkie fabryki, *dają zarobek robotnikom*. Cóż to wszystko znaczy? Znaczy to, że nie wszystko to, co ludzie robią, służy ku pożytkowi człowieka, a to, co na paru tylko jaskrawych przykładach przytoczyłem, dowodzi, że człowiek zbiorowy dokonuje wielu prac właśnie na szkodę ludzkości i własną.

To też pomimo wszelkich i różnorodnych dowodzeń i uzasadnień, że przemysł alkoholowy stanowi w systemie gospodarczo-finansowym państwa czynnik dodatni, my, ludzie trzeźwi, musimy się temu sprzeciwić i postawić zupełnie odmienną tezę i powiedzieć, że przemysł alkoholowy, wytwarzający wyskok przeznaczony do picia, jest niezmiernie szkodliwy. Co innego, gdyby wyskok był używany jako paliwo, jako siła napędna, lub też na potrzeby chemji, czy aptekarstwa. Tymczasem wiemy, że tylko mały % wyskoku idzie na cele naukowe, przemysłowe, techniczne i lecznicze, a lwia część tej trucizny idzie na trucie ludzi, przeto „trzeźwość" musi to potępić. Człowiek pojedyńczy i człowiek zbiorowy i ludzkość cała ma tyle, że tak powiem, przyrodzonych klęsk, chorób, kalectw, nieszczęść i temu podobnych rzeczy; dlaczego ich przysparzać? Człowiek trzeźwy, rozsądny, społeczny wie i rozumie, że tylko wola uzbrojona w wiedzę, zdobywaną z wysiłkiem, umożliwia na ziemi istnienie człowieka. Po co jej tedy utrudniać, po co dla zysku jednostek zatruwać ogół?

Mając zawsze zwróconą uwagę na ludzkość, musimy my, polscy trzeźwościowcy, wytężyć pracę naszą, aby w Polsce zwalczyć alkoholizm.

Tomasz Nocznicki.

JAK ODBYWAJĄ SIĘ WYBORY?

Byłem w Ameryce w okresie wyborczym. Rozgorzała wtedy walka pod hasłem: suchy—mokry. Jedni wychwalali swoich kandydatów, a ganili przeciwników, mówiło się bardzo wiele o szkodliwości alkoholu, inni może jeszcze więcej mówili o demoralizacji, jaką wprowadza prohibicja; miasto było oblepione plakatami, zasypane ulotkami, na każdym placu, w każdym parku, na każdym rogu ulicy były mityngi, wielki bęben i hałaśliwa muzyka ściągały słuchaczy, a potem byle jaka beczka, lub stara paka służyła za mównicę, a na mównicy jakiś uliczny krzykacz wychwalał swoich kandydatów. Pamiętam w Chicago, przemawiał tam kongresman, Polak, w polskiej dzielnicy do zebranego tłumu polsko-żydow-

skiego. Przemawiał zwyczajem amerykańskim w formie zapytań i odpowiedzi.

Czy wy wszyscy już jesteście amerykańskiemi obywatelami? Czy macie już w porządku swoje papiery? Naturalnie, że wielu z was nie pomyślało o tem. A szkoda! Bo gdybyście mieli prawo głosować, moglibyście głosować na mnie, a jabym zobowiązał się zwalczać prohibicję, postarałbym się, abyście nie mieli trudności w kupowaniu wódki i piwa, wystarałbym się nawet o to, aby otworzono granicę i żebyśmy tu, za oceanem mogli mieć naszą dobrą, tanią, polską wódkę! Każdy naród powinien mieć prawo pić swój ulubiony narodowy napój. Anglicy niech piją brandy, Szkoci whisky, Francuzi absynt, Szwedzi arak, my, Polacy, powinniśmy pić naszą polską prawdziwą wódkę, taką, jaką bardzo niedawno mogliśmy dostać w tym tu polskim Salunie, który nosi polską nazwę: „Ul“ — do tego tu naszego *Ula* was tu wszystkich zapraszam.

Tłum ryczał z zadowolenia i całą gromadą zwalił się do wskazanej knajpy, gdzie, pomimo zakazu, znalazły się trunki, ale co najdziwniejsze, tuż obok znaleźli się zwolennicy polityki suchej i ci również raczyli się zakazanemi trunkami.

Pamiętam także wybory do pierwszej Dumy. Byłem wtedy na Podolu. Do powiatowego miasteczka zjechali się wyborcy, to znaczy wszyscy właściciele ziemscy, posiadający przynajmniej 300 dziesięcin i wybrani w gminach (wołostiach) drobni rolnicy w stosunku po jednym na każde 300 dziesięcin, posiadanej w danej gminie przez chłopów ziemi. Ci wyborcy mieli spomiędzy siebie wybrać delegatów do gubernji. Zjazd powiatowy rozbił się odrazu na trzy części: większa własność polska, takaż większa własność rosyjska, w naszym powiecie mniej liczna od polskiej, i najliczniejsza grupa wyborców z mniejszej własności. Z tej ostatniej grupy i Polacy i Rosjanie chcieli pozyskać zwolenników, do czego użyto najprostszego sposobu—rozpajania młodszej braci. Z początku więc dość ostrożnie przez żydów pośredników zaczęto kupować głosy, a potem stopniowo dwie miejscowe restauracje zostały opanowane jedna przez Polaków, druga przez Rosjan, a chłopi chodzili od jednej restauracji do drugiej i pili ile się tylko dało. W wyniku ostatecznym zostali wybrani delegaci i wysłani do gubernji. Z początku zdecydowały się na picie z panami tylko jednostki, a większość siedziała na sąsiednich trotuarach i z zazdrością przyglądała się pijatyce swoich śmielszych współbraci, ale bardzo prędko prawie wszyscy, a może nawet i wszyscy znaleźli się wewnątrz restauracji, przy stolikach z kieliszkami w ręku w bardzo poufałym stosunku z panami, którzy im fundowali. Większość była wierna swoim panom, ale byli i tacy, którzy wypili z panami polskimi i panami rosyjskimi, a potem głosowali sami na siebie, rozumie się, bez pomyślnego dla siebie wyniku. Pili również i to nie mało, panowie, którzy chłopów dla siebie kupić chcieli i w tym celu ich spajali. Drugim aktem wyborczym był zjazd wybranych delegatów do gubernji do Kamieńca. Tu znalazł się wielki polityk, marszałek szlachty powiatu kamienieckiego. On zorganizował delegatów Rosjan, a że ich było za mało, rozpoczął starania, aby uzyskać polskie głosy. Ten pan, z przekonania istinno ruskij, starał się przekonania swoje ukrywać, a w tym celu z Polakami mówił po polsku, lub po francusku, z Rosjanami po rosyjsku, a z chłopami po ukraińsku. Wciskał się na wszystkie polskie zebrania,

bywał w polskich domach i wtedy miał zaprzęgi, czwórki w szorach angielskich, lub nawet bałagulskich, a służbę odziewał w liberję, lub po kozacku. Gdy wypadło mu być u gubernatora, lub w domu rosyjskim, wyjeżdżał trójką koni w dudze i uprzęży rosyjskiej, a stangret był w armiaku silnie wywatowanym. Miejscowym polskim politykom ta dwulicowość pana marszałka (rozumie się nie z wyborów, a z nominacji) bardzo się nie podobała, ale nikt mu tego wyraźnie nie powiedział, a że był to człowiek mało subtelny, to nie odczuwał nawet, że go traktują nie poważnie, nieżyczliwie, przeciwnie, myślał, że ma wielki wpływ na Polaków i że ma nawet prawo nimi w pewnym stopniu kierować.

Gdy wszyscy zjechaliśmy się do Kamieńca i znaleźliśmy się w jednej wielkiej sali restauracyjnej, to w tejże sali znalazło się kilku delegatów Rosjan, a między nimi prawie wszyscy powiatowi marszałkowie — Rosjanie. Rej między wszystkimi Rosjanami wodził marszałek kamieniecki, wyżej opisany działacz.

Zestawiono stoły i zaczęła się wspólna biesiada. Omawiano politykę państwową i wybory ostateczne, które miały się następnego dnia odbyć. Jak zwykle na takich zebraniach jedną stronę stołu zajęli Rosjanie, drugą Polacy. Rosjanie przemawiali bardzo serdecznie — Polacy milczeli, patrząc spodełba, nawet dość obficie wypite wino nie mogło ich rozruszać. Po wielu przemówieniach ze strony Rosjan i po bardzo ostrożnych i dyplomatycznych odpowiedziach ze strony Polaków, — zabiera głos główny organizator zebrania, opisany wyżej marszałek kamieniecki. Przemówienie jego było pełne serdeczności i najdalej idących zapewnień i obietnic i zakończone dość teatralnym gestem: „my do was wyciągamy rękę zgody". Na co z szarego końca polskiego stołu pada odpowiedź, zająkującego się i dobrze już podpitego szlachcica: „preždie pomojtie" — „wpierw wymyjcie".

Chwila głuchego milczenia, po której z takim samym aktorskim gestem wyciągnięta ręka marszałka opada i następuje odpowiedź: „in vino veritas". Dnia następnego Polacy oddali wszystkie swoje głosy na chłopów i do Dumy z Podola wysłali 12 chłopów, nie dopuszczając wcale Rosjan. Wybory odbywały się w teatrze miejskim. Widownia była oddana do dyspozycji delegatów; po zakończeniu wyborów byliśmy ciekawi, jak wyglądają wybrani posłowie, gdyż nikt nie wiedział, na kogo głosował — zażądaliśmy więc, aby pierwsi wybrańcy Podola, do pierwszej Dumy, wyszli na scenę i w ten sposób dali się nam poznać. Wprowadzono więc ich na scenę, a gdy podniosła się kurtyna, przyjęliśmy naszych wybrańców rzęsistemi brawami. Wspomniany wyżej marszałek kamieniecki zwrócił się do nich z przemówieniem i zaproponował, aby wybrani świeżo posłowie wypowiedzieli się, jak rozumieją swoje przyszłe obowiązki. Każde przemówienie było rzęsiście oklaskiwane, pomimo, że przemówienia te były niesłychanie naiwne. Wszyscy nasi posłowie weszli do klubu Trudowików, i w klubie tym odegrali pewną rolę; życie parlamentarne z tych przygodnych podolskich chłopków wyrobiło dumskich działaczy. Z poważnego aktu wyborów — zrobiliśmy niesmaczny żart zapewne dlatego, że pierwsze wybory po wiekowej przerwie odbyły się pod silnym wpływem alkoholu.

U nas podczas dotychczasowych wyborów tradycyjna galicyjska kiełbasa gęsto zalewana wódką, rozpanoszyła się po całej Polsce, z wy-

jątkiem może poznańskiego, gdzie wybory odbywają się przeważnie bez kiełbasy. Tam wódka jest zalewana piwem, a piwo zalewane wódką, do czego służą miejscowe piwiarnie. Tam nawet wiece odbywają się odrazu w salach piwiarnianych.

Niezmiernie ciężkie, przygnębiające wprost wrażenie robi na każdego z nas obywatel, bezmyślnie i apatycznie wysłuchujący różnych przemówień, których przeważnie nawet nie rozumie, oklaskujący na dany znak pewne ustępy przemówienia, lub wykrzykujący razem z innymi: „precz", „precz", „hańba" i t. p., a jednocześnie wyczekujący poczęstunku, przy czem, jak pies patrzy na kostkę, którą mu mają łaskawie rzucić, patrzy z przymileniem w oczy tego, od kogo poczęstunku się spodziewa.

Ostatnie wybory w Polsce odbyły się bez wódki, bez poczęstunku. Nas, abstynentów, zwalczających spożycie alkoholu ta sprawa najwięcej obchodzi, dla nas ważnem jest, że wybory odbyły się,—a przy tej okazji nie wypito ani jednego tradycyjnego kieliszka, ani jednej wyborczej wódki.

Aleksander Iżycki.

DZIAŁALNOŚĆ PRZYCHODNI PRZECIWALKOHOLOWEJ W BIAŁYMSTOKU
od dnia 1.III. 1933 r. do 15.IX. 1935 r.

W artykule niniejszym postaram się pokrótce przedstawić w danych statystycznych i na podstawie własnych spostrzeżeń wyniki, osiągnięte przez Przychodnię za cały czas istnienia jej t. j. od 1.III. 33 r. aż do 15.IX. 35. Na wstępie niezbędnem jest podanie szczegółów, poprzedzających zorganizowanie i otwarcie wyżej wymienionej przychodni. Walka z alkoholizmem na terenie miasta Białegostoku była prowadzona przeważnie przez T-wo Eugeniczne Oddział w Białymstoku, które wyłoniło specjalną Sekcję do walki z alkoholizmem. Organizowano odczyty publiczne i pogadanki w szkołach, niejednokrotnie sprowadzając prelegentów z poza Białegostoku. W marcu 1933 r. T-wo Eugeniczne otwiera przychodnię przeciwalkoholową. Otwarcie przychodni przyjęte zostało bardzo przychylnie i odrazu zdobyła ona sobie duże powodzenie. Lekarze ze szpitala w Choroszczy dojeżdżają dwa razy w tygodniu, przyjmując każdorazowo po 2—3 godziny. Poza roztaczaniem opieki nad alkoholikami, roztacza się opiekę nad psychicznie chorymi. Współpraca tych dwu poradni była i jest konieczną, ze względu na trudne warunki materjalne, obie bowiem borykają się z trudnościami finansowemi. Środki materjalne przychodnia przeciwalkoholowa czerpie z funduszów T-wa Eugenicznego, podstawę tych funduszów stanowią dotacje z Departamentu Służby Zdrowia Min. Opieki Społecznej. Poradnia psychjatryczna otrzymuje zapomogi z Zarządu m. Białegostoku i Ubezpieczalni Społecznej, oraz ze składek i ofiar na ten cel przeznaczonych. Wzrastająca z roku na rok frekwencja wymaga coraz bardziej stałej opieki lekarskiej. Dojeżdżający lekarz nie jest w stanie zaspokoić wszystkich pacjentów. Zwiększanie się liczby osób potrzebujących porady lekarza, powoduje coraz rzadsze obcowanie z osobą lekarza, co niewątpli-

wie szkodliwie odbijać się musi na skuteczności akcji abstynenckiej. By zaradzić temu T-wo Eugeniczne postanowiło silniej związać lekarza z przychodnią, angażując go, jako siłę narazie częściowo płatną. Ilość przyjęć w przychodni została zwiększona do 3 razy w tygodniu, co da 9 godzin przyjęć, zamiast dotychczasowych 6. Do pomocy lekarza w przychodni zaangażowana jest płatna pielęgniarka społeczna, która rejestruje, odwiedza i roztacza opiekę nad nałogowcami. Udziela im niezbędnej opieki pielęgniarskiej, wnika w ich życie codzienne, udziela rad i wskazówek w zakresie higjeny osobistej i warunków materjalnych, kierując w niezbędnych przypadkach do Opieki Społecznej, celem udzielenia doraźnych zapomóg, lub też do biur pośrednictwa pracy, gdzie za poparciem przychodni otrzymują potrzebną pracę. Dane liczbowe poniżej przytoczone są oparte na danych zawartych w kartotece lekarskiej, wynotowane ręką lekarza i pielęgniarki w czasie porad w przychodni, lub w domu pacjenta. Nie obejmują one jednak całości, gdyż pominięci zostali pacjenci, którzy są w rejestrze pielęgniarki, ale nie przeszli przez ręce lekarza, nie przedstawiają więc pełnej wartości.

Liczba leczonych:

Tablica I.

Rok	1933	1934	1935	Ogółem zarejestrowano
Kobiety . .	2	3	—	5
Mężczyźni . .	42	26	19	87
Ogółem . .	44	29	19	92

Porzuciło przychodnię 6 osób; pozostało w leczeniu 86 osób.

Wyznanie:

Tablica II.

Rzym.-katolic.	Prawosławne	Ewangelickie	Mojżeszowe
81	6	5	—
88 %	6,6 %	5,4 %	0 %

Zawód:

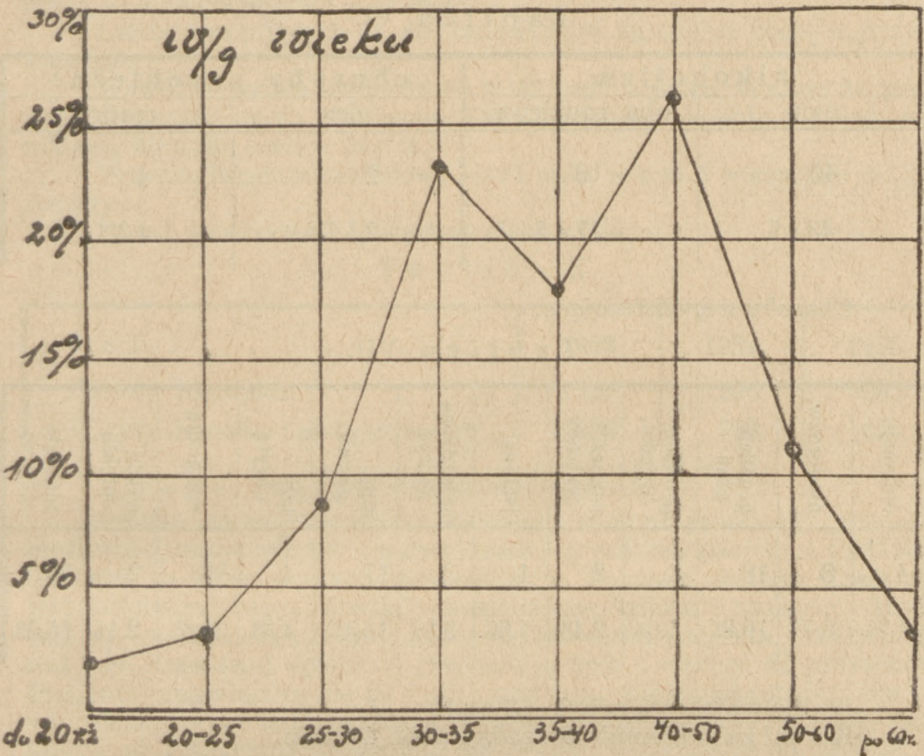
Urzędników 7, tkaczy 10, robotn. fabr. 17, robotn. niewykw. 15, stolarzy 6, szewców 5, mechaników 4, murarzy 4, krawców 4, tokarzy 2, tapicerów 2, cieśla 1, malarz 1, kelner 1, rzeźników 2, fryzjer 1, piekarz 1, bez określonego zawodu 10.

Stan cywilny:

żonaci 76, kawal. 12, panna 1, wdowy 3.

Wiek:

Tablica III.



Wykształcenie:

Tablica IV.

analf.	elemen.	średnie	wyższe	razem
9	73	9	1	92
9,9 %	80,1 %	9,9 %	1,1 %	100 %

Zdolności do nauki:

Tablica V.

zdolni	średnio zdolni	niezdolni
24	50	18
26,1 %	54,1 %	19,8 %

Obarczenie dziedziczne:

Tablica VI.

alkoholizm		choroby psychiczne	
ojca	obu rodziców	ojca	matki
40	16	2	4
43,4 %	17,4 %	2,1 %	4,3 %

Choroby współistniejące:

Tablica VII.

epilepsja	niedorozw.	gruźlica płuc	gruźlica kręgosł.	schorz. wątroby	ischias	miażdżyca naczyń	kiła pewna	kiła ukryta	rzeżączka	wrzód miękki	zupełnie zdrowi
4	8	18	1	2	1	3	17	4	19	2	13
4,2%	8,7%	19,8%	1,0%	2,1%	1,5%	3,2%	18,4%	4,3%	20,6%	2,1%	15,5%

Służbę wojskową odbyło 68 osób.
Karani za zakłócenie porządku publ. 46 osób.

Początek systematycznego picia:

Tablica VIII.

od dzieciństwa t. j. do 18 r. ż.	w wieku młod. od 18 r. ż. do 25 r. ż.	w wieku starszym powyżej 25 lat
41	42	9
44,6%	45,6%	9,8%

Jak często piją? stale — 44, okazyjnie — 38, okresowo — 10.

Stany po upiciu:

Tablica IX.

Delirium	Gwałtowni	Spokojni
10	52	30
10,8%	56,7%	32,5%

Narkotyzowało się innymi narkotykami: morfiną — 1 osoba, kokainą — 1 osoba, eterem — 2 osoby.

Liczba żon pijących 41, co stanowi 54% na ogólną liczbę mężczyzn żonatych.

Wyniki dodatnie stwierdzono w 42 przypadkach, w czem 10 przypadków uważa się za wyleczone. Dotychczasowe leczenie nie dało wyników u 50 osób, czyli w 54,4%.

Przeszło leczenie zakładowe — 11 osób, w tem 5 w szpitalu w Choroszczy.

Porad lekarskich i pielęgniarskich udzielono:

T a b l i c a X.

R o k	1933	1934	1035
Porady lekarskie . . .	120	200	255
Wizyty domowe i pielęgniarskie	636	702	520

U w a g a: rok 1935 obliczony tylko do 15.IX. 35 r.

Środki i sposoby lecznicze stosowane są w przychodni w granicach możliwości materjalnych i indywidualnych potrzeb pacjenta. Podstawą leczenia, to leczenie psychoterapeutyczne. Pozatem szeroko stosowana jest autohemoterapja, środki wzmacniające, kojące i nasenne. Środki te przy umiejętnem i taktownem potraktowaniu pacjenta i roztoczeniu nad nim troskliwej opieki — przełamują opór i niechęć do przychodni. Pacjenci przywiązują się do niej i traktują niejednokrotnie jako powierniczkę swego dalszego życia. Dowodem tego jest coraz częstsze zgłaszanie się z najprzeróżniejszemi sprawami i bolączkami do lekarza, by zasięgnąć opinji i dobrej rady. Nasuwające się wnioski i spostrzeżenia z wyżej przytoczonego sprawozdania, omówione będą w dalszych artykułach. Obecnie T-wo Eugeniczne przystępuje do organizacji Koła walki z alkoholizmem. Członkowie Koła rekrutowali się z ludzi — abstynentów — przeświadczonych co do szkodliwości napojów wyskokowych, oraz tych, którzy wydźwignęli się z nałogu. Należąc do takiej organizacji, znaleźliby w niej niezbędne oparcie. Koło takie istnieje już i rozwija działalność na terenie miasta Choroszczy, licząc 130 członków. Pozatem T-wo Eugeniczne w najbliższym czasie pragnie nawiązać ścisły kontakt i współpracę z instytucjami, które prowadzą ewidencję alkoholików i narkomanów.

Pragnie tą drogą objąć jaknajszersze warstwy społeczne, przełamać niechęć i bierność, a zdobyć zrozumienie w tej trudnej i nierównej walce.

Dr. Stefan Fundowicz.

Choroszcz.

ZE ZJAWISK LITERACKICH.

Pamiętniki Chłopów.

Wypadło mi pisać o książce, sprawiającej trudność, gdyż stanowi ona literaturę, nie podlegającą żadnemu z już istniejących rodzai, a będącą wraz z „Pamiętnikami Bezrobotnych“ najbardziej bezpośrednim, żywym i wymownym dokumentem współczesności. Należy do niej sto-

sować zupełnie inne sprawdziany, niż do twórczości wogóle. Daje ona zespół wrażeń silnych, miejscami jaskrawych, powiedziałabym krzyczących, a jednocześnie ujmujących prosto i wymownie całe zespoły zagadnień, które są tematem wielu naukowych prac z dziedziny socjologji i ekonomji. Zamknęła się w niej struktura gospodarcza i socjalna obecnego społeczeństwa, rozpatrywana przez ludzi, których życie obrazuje ów całokształt ustroju u samych jego podstaw, u źródeł i w punkcie krzyżowania się wielkich, zasadniczych kierunków, którymi biegną dotychczasowe formy naszego istnienia.

„Pamiętniki Chłopów“ [1]) zawierają 51 opowiadań z życia ludzi szarych, maluczkich, zbiedzonych, złamanych — zdawałoby się, że monotonja i lament, któremi nasiąknięta jest ta książka, mogą czytelnika znużyć, mogą zmusić go do odłożenia jej po rozcięciu kilkunastu pierwszych stronic. Zdawałoby się, że perspektywa przeczytania dużego tomu, zawierającego opisy najprostszych spraw i wypadków codziennych jest tak odstraszająca, że nie zdobędziemy się na cierpliwość, by się z niemi zapoznać. A jednak tak nie jest. Trzeba tylko do tego specjalnego rodzaju literatury podchodzić ze specjalnem nastawieniem, które określiłabym, jako wewnętrzną ciekawość spojrzenia prawdzie w oczy, poznania, jak to w kręgu teraźniejszości żyją i poruszają się ludzie najbardziej dotknięci kryzysem, a jednocześnie tak samo, jak my umiejący głęboko czuć i intensywnie przeżywać własną niedolę. Czytając „Pamiętniki“, stajemy twarzą w twarz wobec ludu naszego, wobec ogromnej większości naszego społeczeństwa, wypowiadającego się nie przez usta artystów, — którzy nawet jeśliby wyszli z tej sfery, to, zdobywszy wykształcenie i wyższy poziom życia, zatracili już swą bezpośredniość odczuwań — lecz przez tych, którzy zaledwie umieją trzymać pióro, kreślą niem słowa proste, nieudolne pod względem formy literackiej, ale zawierające istotną, nagą prawdę. Pamiętniki te, pisane przez lud wiejski noszą wybitne piętno straszliwego chaosu, w którym znajduje się obecnie życie rolnicze i ekonomiczne kraju. Tematu tego nie będę poruszała, bo nie wchodzi on w zakres spraw, omawianych przezemnie w „Trzeźwości“, — muszę nań tylko zwrócić uwagę ogólnikowo, gdyż właśnie nieustabilizowanie i zagmatwanie stosunków rolniczych wytwarza błędne koło, w którym tragicznie szamocze się ludność wiejska. Jest ona tak głęboko wrośnięta w ojcowiznę, tak całkowicie zespolona z rytmem, którym ziemia oddycha, że niepodobna rozpatrywać jej życia w oderwaniu od gruntu, z którego wyrosła — trzeba również pamiętać, że część tego rytmu jest nadawana przez całokształt ustroju, w którym żyjemy, a zatem możliwością ludzką jest odmienić choć cząstkę zła, na które się tak boleśnie skarży wieś. „Pamiętniki“ są niesłychanie cenną ilustracją naszej rzeczywistości wiejskiej, rozpatrywanej u samych jej podstaw, u fundamentów, a zniekształcanej przez całe szeregi przepisów, ustaw, obowiązków teoretycznie bardzo słusznych, praktycznie nawskroś chybionych. Czytaniu „Pamiętników“ towarzyszy natarczywe pytanie, dlaczego kryzys, będący, jak wiemy, klęską wszechświatową, na wsi ujawnia się w postaci ca-

[1]) „Pamiętniki Chłopów“ Nr. 1—51. Warszawa 1935. Instytut Gospodarstwa Społecznego. Str. XLII+714.

łego szeregu małych, malutkich zarządzeń, wynikających z ustaw racjonalnych, które jednak zastosowane do ludności, znajdującej się w krańcowej nędzy, stają się ostateczną jej zagładą? A więc to już nie jest kryzys, nie jest to stan przejściowy, z którego można znaleźć jakieś wyjście, a jakaś szykana, jakiś koszmar niosący poprostu zupełną ruinę ludziom głodnym i prawie nagim. Na tem właśnie polega paradoksalność naszych czasów, że ustawy słuszne, stają się znienawidzoną bronią bezlitosnego, niepojętego mitu, jakim jest Państwo dla ludzi, żyjących po za nawiasem dobrodziejstw, któremi ono obdarza tylko pewną część swych obywateli. Kryzys gdzieś daleko, a tu na miejscu złośliwa ręka wyprowadza za niezapłacone podatki krowę, ostatnią żywicielkę rodziny, złożonej z kilkorga osób. Obywatele muszą płacić podatki — to takie jasne i słuszne, ale zjawia się pytanie, czy ci ludzie mieli możność stania się obywatelami? Jak może płacić podatek człowiek, którego jedyną majętnością jest szmat ziemi, nie przynoszącej dochodu, a wymagającej pracy i... kilkoro dzieci, wyciągających piszczele rączek bodaj po suchy kawałek chleba!? Dodać jeszcze trzeba, że człowiek ten nie może nigdzie dostać zarobku. Błędne koło, ale z niego nie wyprowadzi owa zabiedzona również krowina, czy jakiś inny sprzęt gospodarski. Nie chcę bynajmniej dawać się unosić elementarnym zjawiskom wiejskiej egzystencji, tak dobrze wszystkim znanym, ale pisząc o „Pamiętnikach", nie mogłam ich pominąć milczeniem, gdyż to one wypełniają właśnie życie pamiętnikarzy, a tem samem mają specjalną wymowę.Ta krowa jest jakgdyby symbolem nędzy, a jednocześnie ostatnim kamieniem uwiązanym do szyi tonącego.

Życie wiejskie, tak dosadnie przedstawiające paradoksalność stosunków ekonomicznych — przedstawia obraz upadku całego systemu gospodarczego, a wśród gruzów i rumowisk lud nasz w męczeństwie poniewierki niema nawet zdawałoby się sił marzyć o poprawie losu. A jednak tak nie jest. Musimy sobie powiedzieć, że ci ludzie głodni, półnadzy, zmarznięci, sponiewierani i fizycznie i psychicznie — umieją z utęsknieniem wypatrywać oczy w jakieś świty dalekie — umieją natężać słuch, czy nie usłyszą wezwania do pracy. Oni chcą pracować i w tej żądzy pracy są męczennikami umierającej przeszłości, która sama ginąc, ich przygniata, a jednocześnie bezimiennymi bohaterami przyszłości, pierwszymi szeregami awangardy, idącej do boju o lepszy świat, o lepszy ustrój, z okrzykiem jednym, z hasłem prostym, a streszczającym zarazem okropny zawód ich obecnego życia: Dajcie pracy! Chcemy pracować! Hasło to nada im prawa obywatelskie w zmienionych, nowych warunkach życia.

Na tle tej potwornej wadliwości stosunków gospodarczo-rolnych rzuca się wprost w oczy, że materjał ludzki, reprezentujący wieś polską, posiada pierwszorzędne walory moralne. Przedewszystkiem właśnie umiłowanie i zrozumienie konieczności pracy jest tak wielkie, tak bohaterskie, a jednocześnie tak naturalne i wrodzone, że lud nasz stanowi istotnie ową wspaniałą opokę dla nowego, odradzającego się życia, w którem praca każdego obywatela na indywidualnych odcinkach, jest dźwignią, motorem odbudowy i utrwalenia nowego ustroju społecznego. Ale praca pojęta nie jako przekleństwo, nie jako kara, lub ciężka konieczność, ale jako wyraz radosnego, naturalnego nakazu wewnętrznego każ-

dego człowieka. A lud ma właśnie owo naturalne poczucie pracy i, mimo, że trudzi się tak krwawo, tak nieprodukcyjnie, bo nie zdobywa środków, mogących zapewnić bodaj minimalne potrzeby, nigdy nie buntuje się przeciw niej, nigdy jej nie złorzeczy. Realizuje on poniekąd hasło pracy dla samej pracy, co faktycznie nie powinno być ideałem, gdyż praca jest to wysiłek, podejmowany w celu osiągnięcia coraz to wyższych zdobyczy, coraz to trwalszych wartości, zarówno w zakresie ekonomicznym, jak i psychicznym. Lud pracuje i nie ma absolutnie nic za to — lud pragnie pracować i mieć za to życie pełne, dostatnie, szerokie, otwarte. Jak zobaczymy, z podanych w następnym numerze cytat, pragnienie nauki, potrzeba książki, nawet w warunkach nędzy, często wybucha skargą, brzmiącą tak boleśnie, że trudno opanować wzruszenie i... gniew, że nie mają możności zaspokojenia tych pragnień.

Często się słyszy zdanie, że lud mniej pije obecnie spowodu kryzysu, ale niech się tylko zacznie poprawiać konjunktura gospodarcza — to zacznie pić, jak dawniej. Po przeczytaniu „Pamiętników Chłopów", po dokładnem wczuciu się w nastrój psychiczny ludzi w takim beznadziejnym mroku żyjących, a tak namiętnie rwących się ku światłu, doszłam do głębokiego przekonania, że nie powrócą do picia, jeżeli my, abstynenci, uświadomimy ich należycie, jak zgubnym jest tradycyjny obyczaj picia, i o ile sama inteligencja nie będzie dawała fatalnego przykładu, jak to czyniła oddawna i jak to czyni, niestety, i obecnie, mimo kryzysu, mimo zastraszających redukcji budżetów domowych na książki i rozrywki kulturalne. Naturalnie będą zawsze ludzie dziedzicznie obarczeni, u których alkoholizm dla tych, czy innych względów będzie istniał, ale nie o nich tu myślę. Sądzę, że takiego nagminnie panującego obyczaju picia, jak to miało i ma miejsce, nigdy już na wsi nie będzie, bo lud ma w sobie za dużo wrodzonego impulsu do rozwoju, za dużo jest w nim sił, za dużo rozmachu i potrzeby wyładowania tłumionej energji. Za dużo tęsknoty do słońca i do wolności. Z naszej strony trzeba zrobić bardzo niewiele— trzeba przedewszystkiem samemu nie pić i otworzyć oczy innym, że alkohol to przedewszystkiem wróg postępu, to czynnik hamujący wszelki awans, czy to indywidualny, czy zbiorowy, to dziedzictwo czasów, o których pragnęlibyśmy czemprędzej zapomnieć. Mam tu na myśli przedewszystkiem młode pokolenie, — być może starsze zbyt już przesiąknięte atmosferą karczmy, w której wyrosło, nie potrafi się odrodzić, ale i tu nie należy całkowicie rezygnować, bo pragnienie poprawy swego losu i u nich jest wielkie i nienasycone. Pamiętajmy, że w szeregach tego pokolenia mamy ludzi, którzy, ideał ozdrowienia ludu przez trzeźwość, postawiwszy niemal w chłopięcych latach, przez całe życie pozostali mu wierni. Mam tu na myśli zasłużonego i czcigodnego działacza ludowego, byłego ministra i senatora, Tomasza Nocznickiego, który rok temu w piśmie „Młoda Polska Ludowa" (marzec 1934 r.), rzucił ślubowanie, nakreślił program swym rodakom. Nie analizując i nie krytykując idei spólnot rolnych, jako ustroju nowej Polski, gdyż to odbiegłoby od tematu, śmiem twierdzić, że przy realizowaniu takiego, czy innego ustroju gospodarczego, to, co wypowiedział Czcigodny Autor w sprawie alkoholizmu, musi istotnie pozostać nazawsze ustawą podstawową, zasadniczą, niezmienną. Oto ona: „My — chłopi, my — lud polski, budując nowy ustrój, na spólnotach rolnych oparty, nie będziemy produkowali truci-

zny alkoholowej. Nie chcemy, nie możemy i nie potrzebujemy nikogo truć żadnemi truciznami, a więc i alkoholem pod żadną postacią. Uważamy to za niegodne nas, za niegodne ludzi nowego świata i nowego ustroju". Krótko, jasno, dostojnie.

Przy czytaniu „Pamiętników Chłopów" niejednokrotnie przychodziła mi na myśl Czcigodna postać senatora Nocznickiego, jako czołowego reprezentanta tego wszystkiego, co jest najwznioślejszego w psychice ludu polskiego. A ruch przeciwalkoholowy ma w Nim swego nieugiętego szermierza, który walczył od lat kilkudziesięciu o abstynencki obyczaj bronią najcelniejszą: abstynencją własnego życia.

(d. c. n.)

Hanna Nałęcz-Ostrowska Szymańska.

GŁOS MATKI.

Dzisiaj, w okresie zgubnych wpływów, jakie wywiera gorączkowa pogoń za kawałkiem chleba, a co za tem idzie nieuczciwa konkurencja i rywalizacja, zanik etyki i moralności rzuca się w oczy. To też my, wszystkie matki, w imię zdrowia naszych przyszłych obywateli Ojczyzny musimy bacznie czuwać nad dziećmi i młodzieżą. Często jednak najlepsze myśli i zamiary nie wcielają się w czyn z braku środków i czasu. Nie mniej jednak, zgłaszając swoje spostrzeżenia i uwagi do stowarzyszeń mających na celu obronę moralnego zdrowia młodzieży, dorzucić możemy niejedną małą cegiełkę pod fundament olbrzymiego gmachu, gdzie dzieci, przyszłość naszego narodu, będą się hartować i uodporniać na duchu, zaprawiając się do życia, opartego na zdrowych podstawach.

Tow. walki z alkoholizmem „Trzeźwość" jest jedną z tych organizacji, która spełnia zaszczytną rolę krzewienia zdrowych zasad życia, opartych na istotnej kulturze ducha. To też życząc tej nieocenionej placówce pełnego powodzenia w trudnej pracy, przesyłam jej parę mych wrażeń, odniesionych z wędrówek po ulicach naszej stolicy, które mają pewną łączność z ruchem, zmierzającym ku poprawie stosunków społecznych. Oto one:

Stojąc raz dłuższą chwilę na jednej z bocznych, lecz bardzo ruchliwych ulic, obserwowałam, jak dwóch chłopaków, może po jakie 6—7 lat mających, skrzętnie zbierało niedopałki papierosów, żeby za chwilę ten zdeptany i opluty ustnik włożyć w usta i dopalać papieros do końca. W drugiem miejscu spotkałam się również z tą samą procedurą wyszukiwania i zbierania niedopałków, lecz tu był inny cel. Otóż taki malec wysypywał do pudełka resztki tytoniu. Kiedy podeszłam do niego z zapytaniem, co zamierza z tem robić, odparł, dumnie spojrzawszy na „takiego laika", że to będzie dobry tytoń, a on go sprzedaje, oddając matce parę groszy zarobionych przy tej tranzakcji. Na samą myśl, ile gruźlicy i innych chorobotwórczych bakteryj może się dostać tą drogą do organizmu dziecka i dorosłego człowieka, ogarnął mnie poprostu lęk. Przeto postanowiłam podzielić się temi spostrzeżeniami z czytelnikami „Trzeźwości", by zwrócić ich uwagę na nieustanne niebezpieczeństwa, płynące z ciemnoty szerokich warstw najuboższej ludności, którą trzeba niezmordowanie pouczać o podstawowych zasadach higjeny.

Jadwiga Moraczewska.

ŁAŃCUCHY.

Motto:

Różne bywają na świecie
łańcuchy:
Jedne wiążą przyjaźni niewidzialną
przędzą,
Inne, wlokąc brzemienne cierpieniem
ogniwa,
Skuwają błędów i nałogów
nędzą...

— A ja ci mówię, smarkaczu, że mojemu synowi nie pozwolę pospolitować się z byle kim! Nie zapominaj, że twoja babka nazywała się Chrostowicka i pochodziła w prostej linji z kasztelańskiej rodziny!

Słowom tym towarzyszyło mocne uderzenie pięścią.

Czternastoletni Kazik skulił jeszcze bardziej ramiona i milczał. Jedynej broni — łez — tak popularnych w podobnych wypadkach u innych, od lat już nie stosował. Po pierwsze pamiętał, jak kiedyś ojciec powiedział, że mężczyźni nie płaczą. Słowa te same przez się, nie sprawiły na chłopcu specjalnego wrażenia; lecz, gdy któregoś dnia zobaczył, że się ojciec po pijanemu rozszlochał, dojrzał w jego nieporadnem skrzywieniu twarzy i umazanych łzami policzkach coś tak poniżającego, że sam postanowił nigdy więcej nie płakać.

Była to ważna chwila w życiu chłopca. Dotąd wierzył niezachwianie, że już sama obecność tatusia zażegnywała wszelkie zło. Nie istniały żadne strachy, kiedy ten olbrzymi mężczyzna znajdował się w domu. Czarownicy tylko dlatego nie istnieli w pobliżu, że *on* był tuż obok, jak również i to było nieprawdą, iż pręt, sterczący na dachu, potrafi odstraszyć pioruny. Cho, cho! gdyby nie ojciec!...

Owa głęboka wiara z przed lat przerodziła się w nieufny, a czasem ironiczny uśmiech i dała teraz poznać posmak goryczy, jaką los często zaprawia życie dorosłego człowieka.

— ... Ty za pan brat z tym chamem, — wykrzykiwał dalej ojciec— ja brzydziłbym się dotknąć jego ręki-...

Przez cały czas przemowy Kazik utkwił wzrok w podłodze i nie odrywał go stamtąd, jakby w obawie, że ojciec wyczyta drwiący wyraz oczu i zupełną w ważność jego poglądów niewiarę.

Bo cóż to znakomite pochodzenie mogło przeszkadzać przyjaźni z Józkiem, synem dozorcy domu.

— żeby mi się na próg nie pokazywał! — wołał dalej ojciec. Powinien zamiatać podwórko, a nie uczyć się łaciny!... Słuchaj, Pelagjo, — zwrócił się gwałtownie w stronę matki, nie umiesz dziecka wychować, nie masz żadnego wpływu! Nigdy, nawet przez chwilę nie byłaś dobrą matką, ani odpowiednią żoną. Widać, żeś córka ekonoma i nic więcej; a do tego Wawrzyńca *Maciaka!...*

Kazik siedział w kącie kuchni z książką od geografji na kolanach. Udawał, że czyta lekcję, a właściwie wsłuchiwał się w wykrzykiwane słowa, nie starając się zresztą z nich wyłowić jakiegokolwiek sensu. Wiedział, że zanim pokolei nie dojdzie do prababki kasztelanki, ojciec będzie

pienił się i wrzeszczał. Dopiero, gdy padało nazwisko Chrostowickich, można się było spodziewać, że się wkrótce zmęczy, pójdzie do pokoju i im dwojgu pozwoli nieco odetchnąć.

Tym razem jednak wymysłom nie było końca. Kazik spojrzał ukradkiem na matkę: siedziała zgarbiona przy stole i cerowała skarpetki. Chłopiec dostrzegł, że ręce jej drżały z żalu, a może ze złości.

Wreszcie ojciec zawołał: dawaj kolację! — i, poszedłszy do pokoju, zatrzasnął drzwi głośno za sobą.

Pelagja Wiśniewska, z domu Maciak, zerwała się śpiesznie, jak winowajczyni.

— Pewnie przegrał dużo na wyścigach, myślała, uderzając z zaciętością wałkiem w wieprzowy kotlet.

Kazik nie mógł się uczyć. Wpatrywał się w drobne punkty, rozsiane na mapie Europy i marzył o tych dalekich miastach, nieznanych ludziach i ich domach. Przecież chyba nigdzie nie było tak źle, jak tutaj...

Podświadomie wstał, jakby w niepowstrzymanej chęci natychmiastowej ucieczki. Ale matka... Spojrzał na jej szarą niepozorną postać. Smażyła na patelni plasterki kartofli, obracając troskliwie każdy kawałek, żeby się jednakowo przyrumienił.

W kuchni było czarno od swędu. Kazik czuł przykre drapanie w gardle, a przytem zapach smażonego mięsa denerwująco mu przypominał, że na obiad były tylko owe kartofle z cebulą i kawałek suchego chleba. Nacisnął więc mocno uczniowską czapkę na oczy i cicho wyszedł.

Matka spojrzała lękliwie na drzwi pokoju. Stwierdziwszy, że mąż nie stoi na progu, odetchnęła z ulgą. Należy dziękować Bogu—myślała— że nie jest bardzo pijany; wtedy nieraz potrafił nawet uderzyć.

Pelagja Wiśniewska była zmęczona życiem. Pozbyła się już dawno wielu pragnień i ambicyj. Kiedyś, jako młoda dziewczyna, zgodziwszy się z ochotą poślubić Anastazego Wiśniewskiego, śniła na jawie o życiu w dużem mieście, gdzie przyszły małżonek zajmował skromne stanowisko urzędnika na kolei.

Po ślubie zamieszkali w niewielkim pokoju z kuchnią i alkową, na odległej i źle oświetlonej ulicy przedmieścia. Wszystko to jednak miało być „tymczasem". Tak przynajmniej zapewniał małżonek. Podstawę świetnej przyszłości stanowiło parę tysięcy, które dostał od starego Maciaka, jako posag jedynaczki Pelasi.

Obiecujący małżonek zabrał się gorliwie do interesów: bywał niemal codzień w różnych restauracjach, gdzie szedł zwykle wyświeżony, pachnący zdaleka kwiatową wodą, z kantem na spodniach i jedwabną chusteczką w kieszonce, a wracał, przesiąknięty odorem na złym tłuszczu przyprawianych potraw i różnorodnych spirytualji.

Czasami „interesantów" zapraszał do domu. Pelasia wtedy przyrządzała z namaszczeniem kolację, a usługując gościom, z lubością wchłaniała opowiadania męża o znakomitych członkach rodziny i rozległych koligacjach.

Potem, kiedy goście odeszli, pan Anastazy, podniecony alkoholem, wtajemniczał żonę w swoje plany, tyczące się kompanów, których przed chwilą serdecznie podejmował. Niekiedy chodziło o zakup podkładów kolejowych, to o węgiel, czy wreszcie wyłaniał się cały szereg innych tranzakcyj ,które miały przynieść tak bardzo upragniony dobrobyt.

Pelasia gotowała i prała, usługiwała mężowi i jego gościom, ciągle pełna nadziei w to lepsze jutro, jakie miało wkrótce nadejść. Minął rok i drugi, urodziła i wykarmiła dziecko, z posagu dawno już nic się nie zostało, a ona ciągle jeszcze wierzyła, że mąż wszystkiemu pomoże i zaradzi. Bo przecież ktoś, czyja matka była z Chrostowickich, nie mógł się w życiu zmarnować. A skoro on wybije się do góry, to i ona, Pelasia wraz z synem dostąpią, bliżej zresztą nieokreślonych, zaszczytów i szczęśliwości.

Owa szczęśliwość, w pojęciu pani Pelagji, było to mieszkanie od frontu, służąca i kupowanie w sklepie nie na kredyt, lecz za gotówkę. Już wtedy jednak, uginając się nieraz pod ciężarem wózka, który trzeba było własnoręcznie wtoczyć na czwarte piętro, traciła na chwilę wiarę w Anastazego, a cudowne horoskopy bladły i odsuwały się wdal. Wystarczyło jednak, żeby wrócił do domu, pachnący wódką, rozmowny i beztroski, potrafił ją odrazu nasycić nową energją, obudzić ufność i uśpić niepokój.

Były to jeszcze w ich pożyciu te czasy, kiedy wtajemniczał niekiedy żonę w swoje plany. Nie dlatego, broń Boże, żeby ją się starał przekonać, lecz poprostu powtarzanie projektów i zamierzeń utwierdzało go w przekonaniu, że wszystko, co wyimaginowała podniecona alkoholem wyobraźnia, urastało w ten sposób do rozmiarów prawdy, stawało się niemal rzeczywistością.

Teraz już od lat w ich małżeńskiem pożyciu nie było miejsca na przyjacielskie rozmowy. Wypowiadane zresztą przechwałki i śmiało rzucane plany nie miały owego dawnego magicznego wpływu. Pelagja dawno już przestała wierzyć, że jakaś siła mogłaby w jej życiu zmienić cośkolwiek na lepsze. Obecnie chciała poprostu, ochronić ten skromny dach nad głową, jaki jej Pan Bóg przeznaczył, a przedewszystkiem zdobyć trochę ciszy i spokoju.

Myśląc nad tem, że życie stawało zawsze w poprzek jej pragnieniom, weszła cicho do pokoju i obok butelki wódki, którą miał przed sobą, postawiła delikatnie talerz. Ze strachem spostrzegła, że butelka jest pełna, co grozić mogło nową awanturą, jeśliby ją pan mąż wypróżnił.

— Może dałbyś mi parę kieliszków... potrzebuję do smarowania...

— Nie dam! — warknął i łypnął ze złością zaczerwienionemi białkami.

Udało jej się jednak upatrzyć odpowiedni moment; kiedy przyniosła herbatę, leżał w ubraniu na łóżku, odwrócony twarzą do ściany; ostrożnie, bez szmeru przechyliła wypróżnioną do połowy butelkę i, nie mając nic innego pod ręką, napełniła żółtawym płynem stojącą obok popielniczkę. W tej chwili leżący poruszył się gwałtownie. Pelagja przerażona, ledwo zdołała zapanować nad drżeniem palców i szybko postawić butelkę na poprzednim miejscu.

Kiedy za chwilę miała wylać ukradzioną wódkę do zlewu, była naprawdę w rozterce; trudno się przecież tak odrazu decydować, by niszczyć w ten sposób *grosze, których brakowało* na każdym kroku.

Kazik zszedł wolno ze schodów, bez pośpiechu minął podwórko, i zatrzymał się przed drzwiami dozorcy. Nie chciał wchodzić do środka, gdyż nie lubił zetknięć ze starym Wojciechem Drylem. Lecz już za chwilę ktoś z lokatorów wchodził do środka i w nikłem świetle małej naftowej lamp-

ki, Kazik zobaczył swego przyjaciela, który, schylony nad książką, uczył się lekcji.

Józek Dryl mocno zatykał uszy palcami, żeby się odgrodzić od gwaru, jaki go otaczał. Ciągle ktoś pukał do drzwi, otwierał je ze skrzypem, puszczał zimny prąd powietrza, pytał o coś, lub się sprzeczał; raz w raz brzęczały klucze, które matka zdejmowała z deszczułki.

Kazik kilkakrotnie musiał zawołać, zanim tamten usłyszał.

— Powiedz, — mówił porywczo, kiedy już stali w kąciku bramy— dlaczego nie mamy spokojnego kąta, żeby się czegoś nauczyć! Nie rozumiem na jutro geometrji...

— Chętnie przyjdę do ciebie i objaśnię.

— Lepiej nie... Ojciec dzisiaj znów nie w humorze...

— Więc chodźmy do mnie.

Kazik się zawahał. Nie robił sobie wprawdzie wiele z zakazu ojca; nie lubił raczej przebywać w towarzystwie dozorcy, Wojciecha Dryla, który całą jego rodzinę z upodobaniem lekceważył.

— Widzisz go, wielki mi pan, — mówił kiedyś głośno na podwórku o Anastazym Wiśniewskim — dobrego słowa człowiekowi nie da, niema dziesiątki za bramę, od długów aż kapie, a udaje księcia!

W nieprzewietrzonej izbie usiedli obydwaj, lecz Kazikowi wyraźnie dzisiaj nie szło. Nie mógł skupić uwagi. Poszczególne słowa nie chciały sklejać się w zdania. Wojciechowa biedoliła głośno, jak to ona się musi napracować i niema nijakiej pomocy z męża, ni wyręki z syna.

Józek nie zwracał uwagi na jej słowa; zdawaćby się mogło, że od tego otoczenia odgradza go nieprzenikniona ściana. Zawsze jakoś potrafił w owej izbie, tętniącej echem wszystkich spraw całej kamienicy, nauczyć się jakoś lekcji dokładnie i do końca. Często można go było zobaczyć, jak, wyręczając matkę, zamiatał podwórko, lub szorował schody, a potem przebrany i umyty, pędził na drugi koniec miasta, gdzie miał korepetycje — źródło własnych dochodów.

Do izby wszedł ciężkim krokiem Wojciech. Nie obdarzył obecnych żadną uwagą, ani spojrzeniem. Wyjął z kieszeni „setkę“ i uderzywszy mocno dłonią w dno butelki, przechylił wtył głowę i wypił całą zawartość. W ten sposób codziennie przygotowywał się do jedynej czynności, jaką z ochotą wykonywał: do otwierania bramy. Zdarzało się nieraz, że uzbierawszy nieco grosza, zostawiał bramę otwartą i szedł naprzeciwko do baru, aby zamienić brzęczące datki na wódkę. Wojciechowa wtedy musiała czuwać nad bezpieczeństwem całej kamienicy. Czasem budziła syna i razem uspokajali ojca, który niekiedy zachowywał się głośno i prowokująco.

Teraz przetaczał swój gruby kadłub po całej izbie, szukając wyraźnie zaczepki.

— Chodźmy do ciebie, — powiedział cicho Józek. Ja w takich razach idę najczęściej uczyć się do piwnicy, ale wieczorem łażą tam szczury i jest niebardzo przyjemnie.

Kazik był nieusposobiony do pracy i raczej wolałby nie uczyć się dzisiaj wcale, ale Józek nie ustąpił:

— Musisz na jutro umieć, bo jak raz posypią się dwójki, to potem trudno będzie się od nich uwolnić.

Pani Pelagja siedziała w kuchni niedaleko komina i cerowała cu-

dzą bieliznę. Dorabiała w ten sposób w sekrecie przed mężem, aby łatwiej związać koniec z końcem. Od rana nie miała ani grosza, a na kolację dla męża Kazik pożyczył parę groszy od Józka.

Mimo, że ojca nie było w domu, chłopcy nie weszli do pokoju, lecz usadowili się w kuchni przy stole i cichutko zabrali do lekcji. Nareszcie nie przeszkadzali nikomu. Matce było nawet przyjemnie patrzeć na ich pochylone głowy i czuć, że nie jest sama. Zapomniała o biedzie i przykrościach, i cieszyła się chwilami spokoju. Wprawdzie Anastazy wyszedł i nie wiadomo było, kiedy powróci, jednak narazie nic jej nie groziło.

Było już późno, kiedy Kazik zasnął. Długo nie kładli się obydwoje z matką, czekając aż ojciec przyjdzie. Wiadomo było zgóry, że ich obudzi. To też pani Pelagja długo krzątała się po mieszkaniu, pragnąc w ten sposób zabić w sobie niepokój. Nigdy przecież nie można było przewidzieć, jaki to będzie powrót. Wreszcie utrudzona, położyła się do łóżka i zasnęła.

Nad ranem Kazik obudził się pierwszy. Na świecie było szaro i chmurno. Ktoś cicho zapukał do drzwi. Matka spała widocznie bardzo czujnie, gdyż zerwała się na równe nogi i pobiegła do drzwi. W sieni stał Józek i kiwał tajemniczo na Kazika.

Chłopiec ubrał się śpiesznie i już za chwilę pędził co sił po schodach.

— Twój ojciec wrócił późno do domu — powiedział Józek ze smutkiem — na ulicy spotkał się z moim. Obydwaj byli pijani i awanturowali się głośno. Nie chciałem, żeby wtrąciła się w to policja i zaprowadziłem obydwóch do komórki, gdzie czasem z matką zamykamy naszego, żeby się niepotrzebnie nie pokazywał ludziom na oczy. Pewnie dobrze się stało, że twoja mama spokojnie mogła sobie spać w nocy...

Kazik słuchał dość obojętnie. Przyzwyczajony do różnych tego rodzaju niespodzianek, myślał tylko o tem, że się nie zdążył wyspać.

Józek ostrożnie otworzył drzwi schowanka; była to mała komórka bez okna, zastawiona miotłami i wszelkim stróżowskim dobytkiem. Pod ścianą leżał brudny siennik, a na nim bezładnie rzucone dwa ciała. Anastazy Wiśniewski wtulił z zaufaniem głowę w brudną zmierzwioną słomę, i spał mocno, chrapał przytem głośno, gdyż krzywy, obłocony obcas Wojciecha Dryla wciskał mu się w rozwarte usta.

Kazik oniemiał. Stał przez chwilę, jak urzeczony. Przypomniał sobie prababkę kasztelankę, którą się tak ojciec szczycił. Jej wiotka, wymarzona w dzieciństwie postać przemknęła mu mgłą po oczach. Chwycił się wpółprzytomnie za głowę i, niepomny na dane sobie słowo, rozpaczliwie zaszlochał.

Zofja Herwichowa.

D L A C Z E G O ?

Aby zapobiec narkotyzowaniu koni wyścigowych, poddaje się je badaniom przed biegiem i po biegu.

Należy mieć nadzieję, że, kiedyś, podobne próby będą zastosowane do istot ludzkich, jak lotnicy i inni, którym powierza się bezpieczeństwo publiczne lub państwowe, i t. d. i t. d.

Ale dlaczego zaczęliśmy od koni?

The Anti-Opium Information Bureau w Genewie. Komunikat Nr. 23 z 20 maja 1935 r.

pod. *M. S.*



Euforja.

rys. Krystyny Artyniewiczowej.

NAWRÓCENIE.

Mąż Marty nie wracał. Marta przypuszczała, że stanie się tak, jak działo się już od miesięcy: Janek przyjdzie pijany, nieprzytomny i chory.

Minęła trzecia godzina i wówczas Marta usłyszała łomotliwe stukanie do bramy kamienicy.

Mąż wracał. Poznała to jego niecierpliwe, zająkliwe stukanie klamką i pukanie monetą w szybę. Po chwili dozorca wyczłapał się z dna swej suteryny i klnąc, zakręcił kluczem w zamku.

Marta spogląda z okna wdół, na podwórko i widzi, jak Janek, objąwszy dozorcę za szyję, idzie z nim na schody, ściskając go i całując.

Marta słyszy głos męża, jakieś niezrozumiałe, bełkoczące słowa, skierowane w stronę dozorcy.

Z obrzydzeniem odwraca się od okna i cicho, na palcach, by nie budzić małego, przechodzi do przedpokoju, otworzyć drzwi.

Gdy, potykając się o próg, wtoczył się Janek do wnętrza mieszkania, rozszedł się mdły zapach restauracji, baru: mieszanina potraw, wódek i wszelkiego rodzaju przypraw.

— Znów!

Marta była już tak zrezygnowana i przygnębiona tym widokiem, który musiała obserwować co kilka dni, że wprost nie miała siły, aby dodać coś więcej do tego wykrzyknika rozpaczy.

— O Chryste Jezu! — zawył Janek i grzmotnąwszy kolanami przed Martą, splótł dłonie jak do modlitwy.

Wyglądał rozpaczliwie, blado-zielony, z podkrążonemi oczami, półprzytomnym wzrokiem.

— Cicho, nie krzycz, obudzisz dziecko — próbowała go uspokoić.

Było to jednak bezowocne, bowiem mąż poprzez czkawkę i śmiech, począł wołać:

— Niech wie świat cały, że jestem świnia, że bydlę jestem, że żłopię wódkę, jak ta świnia ostatnia, niech wszyscy wiedzą, niech wiedzą!

Janek zachłystywał się łkaniem, spazmatycznem, histerycznem, głośnem.

I nagle w ten krzyk pomieszany z płaczem i słowami bez związku, wplątał się cienki, głosik dziecka:

— Czy tatuś wrócił?

W głosie dziecka brzmiała wyrozumiałość i powaga.

Stał w białej, długiej koszulce na progu pokoju i patrzył, zaspanemi oczami na ojca.

— Tatusiu, bądź grzeczny!

A wtedy ojciec wybuchnął na nowo płaczem, okrzykami nieskoordynowanemi i zaklęciami. Mały patrzy przez chwilę uważnie, dobrotliwie na ojca, podchodzi do niego i, kładąc rękę na ramieniu klęczącego, mówi:

— Niech tatuś się grzecznie położy do łóżeczka i będzie dobry dla mamusi, bo pogniewamy się na tatusia.

Ojciec nieruchomieje na chwilę, przebłyski zrozumienia migają mu w oczach, podnosi się z klęczek, chybotliwym, tanecznym krokiem podchodzi do kanapy i pada na nią z ciężkiem westchnieniem ulgi.

Po chwili znów zrywa się z kanapy, wołając piskliwym, rozdzierającym głosem:

— Na rany Chrystusa, nie chciałem pić, nie chciałem — kończy bełkotliwie.

— Więc to jest mój mąż? — zapytuje samą siebie Marta — więc to ten człowiek, którego pokochałam, któremu przysięgłam wierność?

Stoi Marta w oknie swego pokoju i nie wie, co począć: odejść, czy zostać?

Mrok za oknem bieleje, niebo staje się coraz jaśniejsze, dzień wschodzi...

Pójść, zostawić go tutaj pijanego, wrócić do rodziny, albo wprost zamieszkać oddzielnie z małym?

Marta myśli, decyduje, zbija własne pomysły.

Jeżeli odejdzie...

No tak, wtedy będzie spokój, mały nie będzie więcej widział pijanego ojca.... Zapomni o tych przykrych dla niego chwilach. No, tak, prawda, ale...

Ale co się stanie z Jankiem, gdy ona odejdzie?

Trudno, trudno, muszę ratować dziecko — postanawia ostatecznie — wyprowadzę się od Janka, nię powiem mu nawet, gdzie, zniknę mu z oczu na pewien czas, może wtedy oprzytomnieje, odzwyczai się od picia wódki?

I nagle: Mamusiu, trzeba rozebrać tatusia i położyć do łóżka — mówi mały cichym głosem.

Matka zbliża się do męża. Widzi tylko jego błyszczącą twarz, wykrzywione usta, ślinę cieknącą z kącika rozwartych ust, widzi tylko wszystko najgorsze: poplamione ubranie, potargane włosy, rozwiązany krawat...

Z obrzydzeniem poczyna ściągać odzież z pijanego ciała. Mały spogląda na ojca ze smutkiem w twarzy, z jakimś widocznym bólem i współczuciem...

— Taki to nasz ojciec—zaczyna matka, jakby tłumacząc się przed synem — wciąż pije, wciąż pije...

Urywa. Czy warto mówić? Przykrywa męża prześcieradłem, byle nie widzieć tego roztrzęsionego, bezwładnego ciała, tych wykrzywionych, zaślinionych warg, potarganych, zlepionych potem włosów — byle nie widzieć, zapomnieć. Marta siada na krześle przy kanapie, na której leży jej mąż i zamyśla się.

Patrzy: spod białego, śnieżnego prześcieradła wystają nogi. Marcie wydaje się, jakby te nogi — znużone, po dniu pracy, po włóczędze wśród ulic, po łażeniu od knajpy do knajpy — należały właściwie do małego jeszcze chłopca, który chodzić jeszcze nie umie...

Budzi się z drzemki, otwiera oczy: cisza. Mały śpi przytulony do ojca, a ojciec — chrapie donośnie.

— Janek postępuje jak małe dziecko — przychodzi jej refleksja do głowy, jako oddźwięk niedawnego majaczenia sennego. — Nie umie jeszcze chodzić odpowiedniemi drogami.

Czy więc powinnam roztoczyć nad nim czulszą opiekę?

I znów Marta nie wie i waha się: odejść — zostać?

Tłumaczy się przed samą sobą: Jeżeli nie odejdę, będzie to samo, a muszę odejść, bo mały nie powinien przyglądać się takim scenom.

Dzień wdziera się przez okno. Marta wstaje z krzesła, na którem przesiedziała noc całą i cicho, by nie budzić dziecka ani męża, pakuje rzeczy do walizy.

Suknia, suknia, dwie suknie, bluzki, buty, pantofle, potem ubranka małego, książki.

Gdy wszystko już przeniosła z szaf i bieliźniarek do waliz, opanowuje Martę dziwne roztkliwienie i żal.

— Może jeszcze raz spróbować, raz jeszcze przebaczyć?

I wtedy nachodzi ją genjalna myśl: udawać przed nim, że się go nie chce, że się nim pogardza, że nie kocha się go zupełnie, że jest dla niej absolutnie obojętny...

Udawać, wyprowadzić się od niego i czuwać z daleka nad jego losem.

— Jakie proste rozwiązanie — cieszy się Marta.

A dzień już budzi się nadobre.

. . . .

Gdzie idziesz — pada pytanie z ust Jana. Jest już wytrzeźwiony, uśmiechnięty, maskujący zmęczenie i ból głowy.

Marta w kapeluszu i płaszczu, ubierając małego myśli: Biedny Janek, żal mi ciebie, dzisiaj już dobry jesteś — a głośno mówi zimnym, drwiącym tonem: Czyż myślisz, że przyjemnie przebywać mi z tobą, z tobą — wiecznie wstawionym, wiecznie brudnym, cuchnącym wódką i wyziewami restauracyjnemi? Dotąd sądziłam, że poprawisz się, wrócisz na lepszą drogę, przypomnisz sobie, że masz rodzinę, dziecko!... Były to jednak złudzenia, iluzje, dalej tak być nie może.

Widzi, jak Jan spogląda na nią przerażony, zdumiony, niepewny. Mówi więc, by zrozumiał i uświadomił sobie dokładnie: Wyprowadzam się od ciebie.

— Jakto — pyta błędnemi oczami. Spogląda na walizki, na Martę, na małego.

— Naprawdę chcesz się wyprowadzić? — rzuca nieśmiało. — Ale przecież...

— Tak — przerywa mu Marta — wyprowadzam się i uważam, że wszelka dyskusja jest teraz zbyteczna, wiesz, o co mi chodzi, o to, że deprawujesz mi dziecko, narażasz go na gorszące widowiska, krótko: jesteś niegodny mieć rodzinę!

— Marciu! — błagalnie mówi Jan — Marciu, zastanów się...

Marta widzi jego proszący wzrok, wzrok obitego psa. Myśli: zarzucić mu teraz ramiona na szyję, powiedzieć prawdę, wyznać mu, że to wszystko — intryga poprostu? Nie! Wytrwać! Przeprowadzić plan do końca! — krzyczy w niej coś. Zwraca się ostatni raz do męża:

— żegnaj. Sądzę, że nie prędko się zobaczymy.

Nachyla się po walizki, jednocześnie Janek ujmuje je również i ciągnie ku sobie.

Janek patrzy chwilę na nią — potem wyrzuca z siebie potok słów, nerwowych, gorączkowych: Nie pozwolę! Masz zostać. Jesteś moją żoną! Poprawię się! Zostań. Zdejmij płaszcz, rozbierz małego! Już nigdy, już nigdy nie wezmę wódki do ust...

Marta milczy. Patrzy tylko na niego: szyderczo, zimno, drwiąco.

Janek załamuje się pod tym wzrokiem...

— Marciu. Zostań! Przebacz! Przysięgam, już nigdy! Nie odchodź, Marciu!

Oczy ma pełne łez, chwyta się za głowę, biega po pokoju, próbuje odebrać walizki.

A Marta uśmiecha się tylko cynicznie i drwiąco, bierze walizki z rąk męża i głosem zimnym, jakże obojętnym i mocnym, mówi do małego: Chodźmy.

Janek nieruchomieje, pada ciężko na krzesło, kryjąc twarz w dłoniach. Nie ma siły, nie ma siły biec za niemi i błagać, i przepraszać...

Słyszy jeszcze: warkot motoru odjeżdżającej taksówki...

. . . .

I chociaż wielokrotnie skamlał i błagał u drzwi jej nowego mieszkania, nie wpuszczała go. Odpowiadała stale: przestań pić: A wiedziała, że dlatego się boi otworzyć mu drzwi, że, zobaczywszy go — nie mogłaby dalej grać komedji, wyznałaby mu wszystko i czy na nowo miałaby się rozpocząć poprzednia męka?

Mijały dni, miesiące! Marta dowiedziała się, że mąż już nie pije zupełnie wódki. Poszła więc do niego któregoś dnia.

— Nie piję już! — powiedział. — Czy chcesz do mnie wrócić?

Uśmiechnęła się mile: Przekonałeś się, że picie wódki jest strasznym nałogiem?

— Tak, wiesz, jak ciebie już nie było, poszedłem do knajpy. Piłem dużo, na złość, przeklinałem ciebie i śmiałem się z ciebie, wypiłem więcej niż zwykle. Wróciłem do domu — jak, nie wiem, dość, że rano obudziłem się na słomiance koło drzwi mieszkania.

I wtedy zrozumiałem, jakiem zwierzęciem jest człowiek pijący wódkę, upijający się tak, jak ja. I wtedy już nie przeklinałem ciebie, a wielbiłem, nie śmiałem się, a płakałem, bo przypomniałem sobie, że ilekroć wracałem pijany, o którejkolwiek godzinie, ty czuwałaś, ty wychodziłaś mi na spotkanie, uspakajałaś, kładłaś spać.

To obudzenie się na słomiance pozwoliło mi zrozumieć przed czem broniłaś mnie: przed poniżeniem, przed hańbą, przed rynsztokiem...

Stefan Szempliński.

Z DZIEJÓW OBYCZAJU W POLSCE.

W pracy Prof. Bystronia „Dzieje obyczaju w dawnej Polsce“ znajdujemy następujące opisy i obrazy pijaństwa w dawnej Polsce:

„Pijaństwo było obowiązkiem towarzyskim, było jakby instytucją tego mało skomplikowanego świata, wypada więc o niem nieco szerzej się rozwieść.

„Pito dużo, za dużo. „Człek nad apetyt jeść nie może, pić może, mówiło stare przysłowie, pito więc nad miarę. Szesnasty wiek jest jeszcze wcale wstrzemięźliwy, ale stopniowo, wraz z upadkiem wyższych aspiracyj kulturalnych, pacyfikacją kraju i wzrostem zamożności przeciętnego szlachcica, spławiającego zboże do Gdańska, pijaństwo stało się czemś powszechnem, dobrze widzianem, prawie że towarzysko obowiązującem; wytworzył się rytuał pijacki i długi szereg zwyczajów, dotyczących zbiorowych libacyj, a opowiadania o nadzwyczajnych rekordach wytrzymałości i figlach podchmielonych kompanów były jednym z ulubionych tematów długich rozmów.

„Rozwielmożnienie się pijaństwa i podniesienie go do zasady towarzyskiego życia, nastąpiło w ciągu wieku siedemnastego, do szczytu doszło w następnym wieku. Kaznodzieje i satyrycy siedemnastego wieku karcą wytrwale pijackie zwyczaje; za czasów saskich, zdaje się pogodzono się z tem zupełnie. Tradycje podawały, że w dawniejszych wiekach pito bardzo niewiele. „U nas w Polsce za starych lat — mówi Starowolski w kazaniu na dzień św. Jadwigi — królowie wina nigdy nie pijali, ani piwa, tylko samą wodę“; pierwszy dopiero Zygmunt August miał (jego zdaniem) wina używać; „za przykładem panów i królów swych

wszyscy poddani, a zwłaszcza szlachta pijaństwa się wystrzegali", jako przykład podaje kaznodzieja książąt Radziwiłłów, z których dopiero hetman wielki litewski Jan, wraz z przyjęciem sprośnego luterstwa zaczął wina używać i zły przykład podał „drugim sheretyczałym senatorom, od których zasie łatwie jęła się pijać różnych napojów szlachta". Siedemnasty wiek jest już, zwłaszcza u schyłku, daleko mniej wstrzemięźliwy; wraz z osłabianiem się cnót rycerskich, z wzrastającem domatorstwem szlachty, z przerostem życia publicznego w tłumnych zjazdach pod przewodem magnatów, szukających taniej popularności, a także wraz z inflacją monetarną i niepewnością jutra zaczęło się szerzyć pijaństwo w coraz to szerszych sferach. Czasy saskie, tak przez współczesnych wychwalane, były kulminacyjnym okresem rozpusty pijackiej, poczem dopiero stopniowo za Stanisława Augusta zaczynało się częściowe otrzeźwienie. Moszczeński zaczyna pierwszy rozdział „Pamiętnika do historji polskiej w ostatnich latach panowania Augusta III" od słów: „za panowania Augusta III kraj cały nie wytrzeźwiał jeszcze, rozpojony przez Augusta II; pijaństwo zrodziło axiomata in vino veritas, drugie qui fallit in vino, fallit in omni. Na fundamencie pierwszego wszystkie najważniejsze interesa, tak publiczne jako i prywatne, między świeckimi jako i duchownymi, robiły się przy kielichach".

„Okazji do picia było dużo. Pito przy obiedzie, pito po obiedzie; przedtem już przy śniadaniu nie gardzono wódeczką, którą piernikiem przegryzano. Zjawiło się kilku sąsiadów, zaraz dobry był pretekst do wyciągnięcia flaszek, lub beczki. „Beczka piwa w komin, kiedy się dobrała kompanja dobrze pijących, nie zabawiła dwóch godzin — pisze Kitowicz. Takie lusztyki słynęły najbardziej w Mazurach i w Sieradzkiem, gdzie się więcej znajduje szlachty miernej fortuny, o jednej wiosce, o kilku chłopkach... Było to poniekąd z oszczędnością, ponieważ pachołek, lub inny służka nie tak wiele zdarł butów, kiedy beczka stanęła w kominie, jak kiedy do niej musiał często biegać z konwią, stojącej w piwnicy. Czterech, a czasem dwóch tylko dobrych łykaczów wypróżnili beczkę 50-garncową od wieczerzy do poduszki, mało albo nic nie zarwawszy północka. Na triumf po zwycięstwie napili się gorzałki i poszli spać z dobrem zdrowiem, cokolwiek „podochoceni". Przyjechał ktoś, należało go witać kielichem, odjeżdżał, pito „strzemiennego". Cóż dopiero, jeśli kto znaczniejszy przyjechał i był gościem przy stole: zaczynały się toasty, które były tem większem uczczeniem znakomitego gościa, im więcej przy nich wypito. Ale tu już trzeba dosłownie cytować. Kitowicza, który szczegółowo, żywo, z finezyjnym uśmiechem spokojnego obserwatora cały ten obrządek saskich czasów opisuje. „Najprzód gospodarz po odbytej sztuce mięsa nalał w mały kieliszek wina i pił nim zdrowie wszystkich siedzących u stołu, począwszy od osoby najgodniejszej do ostatniej, za wymienieniem każdej znacznej osoby przytykając do ust i odejmując kieliszek; a skończywszy dystygnowanych resztę stołowników wymieniał jednego po drugim własnem nazwiskiem, lub też powszechnem: WPana zdrowie, gdy kogo nie znał, kierując ku niemu oko, nie przytykając do ust kieliszka, tylko trzymając go w ręku, a dopiero po wymienionym ostatnim, łyknął trochę, lub doreszty wypił, jak mu się podobało i postawił kieliszek. W ten sam moment, kiedy gospodarz wymienił pierwsze zdrowie, jaki taki brał się do kieliszka i tymże sposobem pił zdrowie wszystkich, których gospodarz.

Więc gdy razem wszyscy jedni drugich zdrowie pili, robił się hałas do kościelnego podobny, kiedy lud za plebanem mówi powszechną spowiedź, tak, iż jeden drugiego nie słyszał i nie rozumiał. Ani też dawał kto baczenia na to, czy był w tej litanji wspomniany, czy nie był, chyba, że kto z gardła całego wykrzyknął imię jego, to mu się ukłonił. Gospodarz pierwszych osób zdrowie pił stojąc, potem usiadł i kończył reszty, toż samo czynili inni dystyngowani; końcowa zaś drużyna piła stojąc wszystkie zdrowia, nie czyniąc sobie większej nad drugich powagi. Po tej pierwszej ceremonji była pauza jaką chwilę, jedli i popijali z małych kieliszków aż do drugiego dnia, lubo to nie wszędzie, bo wielcy pijacy, nie czekając na drugie danie, kazali dawać wielkie kielichy jeszcze przy pierwszem. Skoro spróbowano drugiego dania, to jest pieczystego, natychmiast gospodarz zawołał: dużego kielicha; tym w strych nalanym pił do dystygowańszego. Skoro wypił, albo, jeżeli był nietęgiej głowy po mocnem przeproszeniu za niespełnienie odlał w inny kielich, lub szklanicę, oddał kielich temu, do kogo był adresowany, i usiadł; wszyscy zatem posiadali. Gdy drugi powstawszy począł pić przedsięwzięte zdrowie, znowu cały stół się podnosił, tak mężczyźni jak damy, chyba iż kogo, albo znacznie wysoka godność, albo podeszłe lata od tej grzeczności wymawiały i cała kompanja prośbą, aby nie wstawał, uwalniała. Gospodarz promował coraz to nowy kielich... było w tem wstawaniu i siadaniu tyle utrudnienia, że drugi osłabł od niego wprzód jeszcze, nim się upił; trudno zaś było siedzieć nieporuszenie, gdy drudzy wstawali, bez noty grubjaństwa, albo admonicji od sąsiada. Po odbytych zdrowiach pryncypalniejszych w szczególności, szło zdrowie powszechniejsze osób mniejszych, na różne klasy podzielonych; naprzykład, gdy się znajdowały u dołu jakie urzędniczki i proste szlachcianki z córkami, księża świeccy i zakonni, oficerowie i towarzystwo, palestra i obywatele mali, że w tak dużej kompanji sam czasby nie wystarczał na zdrowie każdej z takich osób pojedyńczej, więc pili klasami.

„Ich mości dam, Ich mościów duchowieństwa, Imci wojskowych, Prześwietnej palestry, Imciów obywatelów, a naostatku, żeby nikomu krzywdy niebyło, całej kompanji zdrowie. Te zdrowia spełniano kielichami, począwszy od kwaterkowego do kwartowego. Kto się nie ochraniał, mógł się upić nie wstając od stołu, nie potrzebując zwyczajnej dolewki po stole, na którą, ponieważ kolej chodziła już tylko między przyjaciółmi, dawano lepszego wina, i zwano to na stempel, jakby przybijając to, które pili u stołu“.

„Toastów tych było zazwyczaj tak dużo, że biesiadnicy musieli więcej stać, niż siedzieć, z czego już Kochanowski żartował:

„Prze zdrowie gospodarz pije,
Wstawaj gościu. A prze czyje?
Prze królewskie...
prze królowej...
prze królewny...
prze biskupie...
Odpoczniemże nogom kiedy?
Gospodarz ma w ręku czaszę,
My wiedzmy powinność naszę:...
Chłopię, wymkni ławkę moję,
Już ja tak obiad przestoję...“

„Kobiety winne były demonstrować swą wstrzemięźliwość, o ile więc zasiadły przy jakim bankiecie, najczęściej weselnym, dotykały tylko ustami pełnych kielichów na znak, że biorą udział w toastach. Pisze O'Connor, że na ucztach tych „kobiety rzadką zachowują skromność, kieliszki do ust tylko przykładają, i potem albo go stawiają przed sobą, albo w naczynie jakie wylewają, tak dalece iż w ucztach tych wina się więcej wylewa niż pije"; Hauteville dodaje, że niema przy stole ani jednej kobiety, przed którąby nie stało koło tuzina kieliszków, których zawartość wylewa się następnie pod stół lub na talerze.

„Gdy już spełniono wszystkie zdrowia, a była jeszcze do kielicha fantazja, wymyślano toasty ogólno-obywatelskie: prosperita publica, salus publica, dobra przyjaźń, dobra kompanja i t. d., wreszcie pito już bez toastu.

„Tak we dwoje,
Nie mijając łokcia,
Ja za twoje, ty za moje
Pijmy do paznogcia"

jak pisze Morsztyn w wierszu do Eustachego Przeczkowskiego, z podtytułem Meditatio Mortis. Zresztą po uczcie zaczynano znów toasty od początku; jeśli były tańce, to oficjalna pijatyka nieco słabła, ale gdy ich nie było, to „czemże się zabawić — pisze znów Kitowicz — jeżeli nie dobrem jeden drugiemu życzeniem: w ręceWWĆPanu, Mci Panie Wojewodo, lub Mci Panie bracie! — mówił gospodarz do pryncypalnego gościa, trzymając kielich lub puhar w ręku, i tak znowu po gradusach godności pił jeden do drugiego". Trzeba było mieć dobre zdrowie, aby ucztę taką przetrzymać.

„Nie było balu, uczty tak magnatów i obywateli świeckiego stanu, jako i duchownych, aby nie wyprowadzano pijanych, niemogących się utrzymać na nogach, wyzutych zupełnie z przyzwoitości" — pisze Moszczeński. Dyplomaci włoscy w relacjach swych stwierdzali, że jednym z najcięższych obowiązków legacji jest konieczność nadmiernego picia na bankietach. Nie dziw, że kto miał słabszą głowę, lub też nieco więcej rozsądku, starał się zręcznością, czy podstępem omylić czujność gospodarza i kompanji. Rozmaite były tego sposoby. Najłatwiej oczywiście było w powszechnym gwarze i podochoceniu udać, że się już odnośne zdrowie spełniło; dość powszechnie przelewano niepostrzeżenie wino z własnego kieliszka do innych, lub też poprostu wylewano pod stół; zdarzało się, że wino zamiast do gardła zmęczonego pijatyką biesiadnika szło za kołnierz, gdy nie udało się go inaczej pozbyć. Gospodarz, najbardziej narażony, gdyż z obowiązku pić do każdego musiał i dobrym przykładem do pijaństwa zachęcać, używał często innego jeszcze podstępu, mając wpogotowiu zafarbowaną na kolor wina wodę, którą mu służba zamiast wina podawała.

„Ale wykręcić się od spełnienia „kolejnej" nie było rzeczą tak łatwą. Sam gospodarz pilnował gości, a ciż znowu wzajemnie patrzyli na siebie, by kto odmową wypicia nie uchylił powinności towarzyskiej. Qui fallit in vino, fallit in omni, mówiono; kto więc chciał mieć jaką taką reputację, musiał pić. Obowiązkiem gospodarza było zachęcać gości, którzy niechętnie patrzyli na najlepiej nawet zastawiony stół, jeśli

ich nie zmuszano do picia; było co jeść, pić, ale p r y n u k i nie było, mawiano z nieukontentowaniem. Wielcy panowie, niechcący zbytnio narażać swej głowy i pospolitować się z bracią szlachtą, pozyskiwali jako swych zastępców znanych w okolicy pijaków, którzy potęgowali konsumcję wina i uznanie gości dla gospodarza. „Gdy albowiem w narodzie nic nie było można zrobić bez pijaństwa — pisze Kitowicz — czy to zgodę jaką, czy elekcją, czy interes własny utrzymać, nie oblawszy go trunkiem jakim podług wartości osób należycie, sama zatem rzecz zniewalała panów do konserwacji przy swoim boku głów na wszelkie trunki jak najmocniejszych, którzyby ich w takowej potrzebie godłem swojem zastępowali, gdy tymczasem panowie takowem zastępstwem cokolwiek przy lepszym rozumie zostawieni, zamroczone rozumy, albo raczej machiny bezrozumne do swoich zamiarów nakręcali'.

„Zdarzało się też, zwłaszcza na większych dworach, że gospodarz polecał służbie pilnować gości, by jak najwięcej pili; za każdym gościem, jak kat nad dobrą duszą czatował pachołek z gąsiorkiem, a nawet pod stołem sadzano służących, aby dolewali tym, co wino wylewali. Nie było też łatwą rzeczą uciec z kompanji; gdy spostrzeżono, że ktoś się salwował ucieczką, goniono go i zawracano, zmuszając do wzmożonego picia. Gospodarz się radował, widząc pobojowisko pijackie, śmiał się z konceptów, z figlów i burd napół przytomnej drużyny. I tutaj znowu pisze Kitowicz: „„To było największym zamiarem owego traktamentu i ukontentowaniem gospodarza, kiedy słyszał nazajutrz od służących, jako żaden z gości trzeźwo nie odszedł, jako jeden, potoczywszy się, wszystkie schody, tocząc się kłębem, przemierzył; jako drugiego zaniesiono do stancji jak nieżywego; jak ów zbił sobie róg głowy o ścianę; jak tamci dwaj skłóciwszy się, pyski sobie powycinali; jako nareszcie ten jegomość, chybiwszy krokiem, upadł w błoto, a do tego ząb sobie o kamień wybił".

„Za czasów saskich zwyczaje te powszechne były w całej Rzeczypospolitej; przedewszystkiem na Mazowszu i Litwie. Dawniej dzielnice wyżej pod względem kulturalnym stojące, wielkopolska czy małopolska, były daleko wstrzemięźliwsze; pito i tu dość dużo, ale przynajmniej nie zmuszano do upijania się. Wraz z rosnącemi wpływami mniej zrównoważonej mazowieckiej i litewskiej szlachty i w zakresie pijackim przeważył program maksymalny.

„Najwięcej się takowych w Mazowszu znajduje — pisze Gwagnin jeszcze w XVI w. — którzy się gwałtem do zbytniego picia wyzywają, mówiąc: albo mi spełń, albo ze mną pojedynek czyń. Zaczem drugi, który jest przyrodzenia słabszego, wolałby się snać bić, niż pić".

„Oczywiście, gdy panowie pili, służba korzystała z okazji i przykładu; zdarzało się też, że szybciej upili się służący, niż panowie. Zresztą patrzano pobłażliwie na podochoconą służbę, a nawet i zmuszano ich do picia: „więc i sługom, choćby też czasem drugi nie rad nieborak, tedy mu dzbanem gwałtem będzie lał w gardło"; „spełnisz mi, bo to zdrowie twego pana łaskawego, chociaj do niego nikt pić nie będzie", pisze Rej w „żywocie człowieka poczciwego".

„Na tle takiej zabawy rodziły się wymyślne i mniej wymyślne koncepty i zwyczaje pijackie. Było ich dość dużo; wszystkie zaś są jakby wyścigiem pijaństwa. Bywały istotnie formalne wyścigi puharowe, kto prędzej wypije, były zakłady o wypicie duszkiem ogromnych garnców;

na dworze Augusta II nagradzać miano zwycięzców starostwami, pensjami, orderami Białego Orła. Bywały kielichy bez nogi, które musiały ciągle cyrkulować i w które wciąż dolewano wina, t. zw. kulawki; bywały kielichy uprzywilejowane, najczęściej dary monarsze, które wyjmowano i spełniano z asystencją honorową przy kotłach i trąbach; bywały wreszcie kielichy, ogromnej zazwyczaj wielkości, których nie godziło się inaczej, jak tylko duszkiem spełniać. Znane były melodje, które grała kapela, lub też śpiewała wesoła kompanja, a które wyznaczały czas wypicia garnca; kto nie wypił, temu dolewano na nowo do pełna i powtarzano pijackiego kuranta. Dla zabawy używano wreszcie osobliwych szklanek, z których pito piwo z rozmaitemi trudnościami; kto pijał z kija szklanego, musiał się dobrze w tył przegiąć, picie z kufelka groziło oblaniem się. Wymyślano też rozmaite reguły, jak pić należy; kto ich ściśle nie zachował, musiał pić dalej, i oczywiście coraz trudniej mu to przychodziło.

„Teatralnym gestem było tłuczenie kielicha; miało to oznaczać, że nikt nie jest godzien pić już z kielicha, w którym spełniono czyjeś zdrowie, lub też który otrzymano z dostojnej, czy też drogiej ręki. Bywało, że kielich taki tłuczono o własną głowę, aby podkreślić znaczenie tej demonstracji; tak np. uczynił hetman Chodkiewicz z kielichem podanym mu przez Zygmunta III w Tołoczynie, na co król grzecznie powiedział: „miły panie hetmanie, nie tłuczcież tej głowy, bo siła na niej zależy". Pochlebcy nadużywali tego zwyczaju i wkradali się w ten sposób w łaski możnych:

„że tłukł za zdrowie szklanki o łeb twardy,
Stąd godność!"

oburza się Potocki. Czasami nie ograniczano się do szkła: Gwagnin, wspomina, że „gdy jeden do drugiego prze zdrowie pije, nietylko w szklanki, ale i w drewniany kufel łeb po uszy wrazi, a wypiwszy, ostatek o łeb sobie stłucze; potem nazajutrz stęka, choruje, chwieje się, by trzcina od wiatru, na wino narzeka, że go od niego łeb boli, a tego zapomni, że sobie on kufel stłukł prze zdrowie".

„Tłuczono także i kielichy, otrzymane z rąk pań w dowód hołdu. Opisuje nam taką scenę Matuszewicz: „porucznik Sołłohub, szlachcic małej substancji, serca mężnego, w naukach niebiegły, a rozumu naturalnego czystego", jak go precezyjnie określa pamiętnikarz, odjeżdża od urzędnika ziemi gostyńskiej Szamowskiego, który go ochoczo poi.

„Nie chciał pić Sołłohub, na resztę rzekł, jeżeli do niego która z córek gospodarskich wypije, tedy pić będzie. Jedna z nich wzięła kielich i, według zwyczajnej damom modestji, trochę wypiwszy oddała mu pełny kielich. Sołłohub z ochotą wypił a potem postawiwszy kielich na głowie końskiej, rozstrzelił go z pistoletu, a potem z konie zsiadłszy, do nóg damie i ojcu upadł, prosząc o deklarację. Ojciec napity, rozumiejąc, że to żart, deklarował, a dama rzetelnie deklarowała. Ten ojcowski żart potem się w prawdę obrócił, gdyż go i prośbą i groźbą wojenną przymusił prawie Sołłohub, że mu córkę oddał".

„Bywały i inne dowody uznania, pito z trzewików panieńskich, zdarzały się też bardziej sumienne toasty z butów dygnitarskich. Niechętnie patrzyli na te pomysły ludzie dawnego autoramentu, a nawet za grzech je miano, z którego się spowiadać należy. W „Zbiorze generalnym wszyst-

kich grzechów" z r. 1776 poleca się idącemu do spowiedzi przypomnienie sobie:

„jeżeli przed osobami uklękasz lub z trzewików pijesz, popiół wstążki mieszając,
jeżeliś palcy panieńskich w trunku nie maczał i za ich zdrowie trunki spełniał,
jeżeliś z trzewików panieńskich nalawszy trunku jakiego za ich zdrowie wypijał".

„Opowiadań na tematy pijackie, relacyj ze sławnych biesiad, pieśni hulaszczych była moc. Popularnością cieszyli się wielcy pijacy, wśród których wojewoda wileński Karol Radziwiłł najbardziej był znany.

„Z Chreptowiczem żyć, z Radziwiłłem pić",

mówiło przysłowie.

„Opowiadano dziwy o Adamie Małachowskim, krojczym koronnym, który kilku gości miał na śmierć upić, a którego wreszcie kiedyś z głupia frant kwestarz bernardyński zwyciężył w pijackiej próbie; o Borejce, kasztelanie zawichojskim, który dewocję z pijaństwem uprawiał, zamykając się na szereg dni wraz z zakonnikami na ćwiczenia podwójnie spirytualne. Z regjonów, chyba ziemia łęczycka i „piskorki łęczyckie" najlepszą się cieszyły w tym względzie opinją.

„Uczta zmieniała się zwolna w pijaństwo, pijaństwo kończyło się orgją. Literatura dawna, satyryczna, moralizująca, kaznodziejska przekazała nam jaskrawe obrazy tych niewybrednych zabaw. Oto opis Reja: „klękają, a czasem i krzyżem padają, a po ziemi się, jako bydło, walają, lejąc sobie w gardło. A będzie drugi trzy kroć z onym gardłem za węgłem, a jeszcze sobie dobrze gęby nie utrze, a już woła: „nalej drugą!" Owa tylko blują, aby pili, a piją zasię, aby znowu blwali, a to iście jest osobny przysmak do dobrej biesiady".

„Wymowniejszy jeszcze jest kaznodzieja ks. Paweł Gilowski w „Postylli" z r. 1584: „pijanice stawiają się wnet srodzy, wszeteczni, niewstydliwi, niepohamowani, ani w obyczajach, ani w mowie, ani w sprawach, bo wnet wdawają się w śmieszki, w żarty błazeńskie, postawę szaloną, śpiewanie grube, słowa plugawe, nieobyczajne, niepotrzebne; jedni ryczą by wołowie, drudzy wołają by szaleńcy, trzeci beczą by cielcowie, inszy tańcują by cielęta, skaczą, biegają, gonią się i kręcą się jako bezrozumni bez potrzeby, tłuką szklanki, gryzą dzbanki, potem nalewają sobie w skopce i trzewiki, wybijają błony, każą piece, gaszą świece, wszystko im wadzi, buczną postawę dźwigają, czupryny wymuskawają, wieńcami się przystroją, lada przyczyny wadzą, krzywo przysięgają, odpowiedzi stroją, rozmaite legendy, języki plotą, wiele złego popełniają, guzów, ran, ślepoty dostawają, czapek, mieszka, szubek, wacka ostradają, sromoty, szkody, grzechu nabywają".

„Na taką kompanję rady nie było; trzeba było spokojnie przeczekać, aż się wszystko uspokoi, wyśpi, wytrzeźwi. Darmo było perswadować, odmawiać napoi, zamykać piwnice; zawsze znaleźli się „tacy wartogłowie, którzy wjechawszy w dom uczciwy, opiwszy się, zwady i rozruchy zaczynają, a drudzy jako w ziemi nieprzyjacielskiej do piwnic, do komor, do stodół kłódki tłuką, chcąc się u ludzi najlepiej najeść i najlepiej napić i naj-

lepiej koni nakarmić", aby użyć słów Starowolskiego z „Reformacji obyczajów polskich".

„Można sobie łatwo wyobrazić, że po takiej hulance sala stołowa wyglądała jak pobojowisko.

„Po wczorajszym bankiecie wynidę z pokoju,
Aż w izbie pełno krwie, szkła, obu końców gnoju;
Temu księdza, owemu balwierza prowadzą,
Ci jednają, a drudzy dopiero się wadzą;
Ten okradziony biada, bez czapki, bez szable,
Ten się potłukł, ten bluje",

pisze Potocki, w którego utworach dość często podobne obrazy znaleźć można. Dobrze jeszcze, jeżeli tylko na szkodzie materjalnej, czy paru guzach się kończyło; często nie obeszło się bez nieporozumień, obraz, rozlewu krwi, ba, nawet trupów; sławne były w siedemnastym wieku „kujawskie biesiady", na które jadąc, należało testament wpierw napisać. Nie można się było dziwić; natury były często nieokiełznane, alkohol dodawał animuszu, a siadano do stołu nietylko strojno, ale i zbrojno. „Z bronią za stół siadamy — woła Starowolski — pachołki zbrojnemi się osadzamy, na biesiadę jak na wojnę strzelbę z sobą wozimy, a potem opiwszy się bez braku winnych i niewinnych bijemy, strzelamy, zabijamy... Tam zdrowie na łyczku... nad moją głową i około moich boków nietylko wisi jeden miecz, ale zaraz kilka i kilkanaście strzelby, do tego nuż czekanów, bałt, buzdyganów, kijców, kul żelaznych i puginałów co niemiara, którym daleko trudniej umknąć się, niżeli Damoklesowi przed mieczem".

„Większość tych nieporozumień, wszczętych przy kieliszku likwidowano na miejscu, bez formalności i protokółu. Czuł się kto urażony, to szablę z pochwy wydobywał i krzyżował ją z sąsiadem, w izbie, w sieni, czy też na dworze; biesiadnicy cieszyli się ze spektaklu, otaczali kołem bijących się, podniecali ich; jeśli to było nocą, zapalano smolne pochodnie, lub choćby tylko łuczywem przyświecano. Polało się trochę krwi, przyniesiono stare vulnerarium szlacheckie: chleb ugnieciony z pajęczyną, ktoś doświadczony rany zaopatrzył i znowu, na zgodę zaczęto pić z nowym animuszem . Gorzej było, gdy całe grupy przeciwników się tworzyły, gdy za panem stawali dworzanie, a nawet i służba, i pijatyka zmieniała się w doraźnie improwizowaną bitwę.

„Tutaj zaczynała się rola medjatora, który w dawnem, burzliwem i niespokojnem życiu szlacheckim bardzo ważną odgrywał rolę. Był to zazwyczaj ktoś starszy, poważny i poważany, najczęściej urzędem ziemskim zaszczycony, wymowny i zręczny, którego strony upraszają, aby podjął się przeprowadzenia ugody i umożliwił podjęcie na nowo stosunków towarzyskich pomiędzy zwaśnionymi.

W podręczniku „Wymowny Polityk" Boczyłowicza spotykamy taki wzór listu z prośbą o medjację: „Mnie wielce Mości Bracie! Czy moda w polskiej szkodzie chodzi czy szkoda w modzie, moda polska podpić i pobić, szkoda: zapłacić. Nieszczęście moje przy ochocie Jegomości N. i do polityki mody, i do szkody mię przywiodło. Popiliśmy się, pobiliśmy się. Zmiłuj się, racz mederi temu, i nas pojednać. Za co zostanę obligatus W. M. M. Panu". Odpowiadał uprzejmie medjator wierszem, przyjmując misję: „Tak to pijana sprawa umie, że zapomni i rozumie, gdy wina podo-

statku, fantazji niema statku, najlepsza rzecz podpiwszy sobie, położyć się w leżajska grobie, a nazajutrz zmartwychwstawszy, fantazję przypomniawszy, przeprosiwszy dać ręce obie, czego ja ad amicabilem compositionem życzą W. M. M. Panu".

*

Na opis tych strasznych obyczai moglibyśmy patrzeć daleko spokojniej i pobłażliwiej, gdyby to był tylko obraz przeszłości, gdybyśmy wiedzieli, że teraźniejszość daleko od niej odbiegła. Wówczas może nawet nie warto byłoby tak się o niej rozpisywać; była i... nie jest — była i... odeszła. Sprawa zlikwidowana, nie należy się nią przejmować.

Niestety, tak nie jest. Bo chociaż zanikły drastyczne formy przymusu pijackiego, oraz wszystkie akcesorja, towarzyszące piciu, wraz z zupełną przemianą warunków życia społecznego, to jednak obyczaj picia pozostał niesłychanie głęboko wrośnięty w strukturę umysłowości naszej, co nie pozwala nam na zajęcie objektywnego stanowiska względem samego zagadnienia alkoholizmu, które zaczyna mało po mału już obijać się o uszy najszerszych warstw społecznych. Jest to zapewne owo fatalne dziedzictwo, ciążące na nas w sposób tak deprymujący, że nie możemy zrozumieć rzeczy jasnych i prostych, przemawiających tak niesłychanie zrozumiale do każdego, komu nie zaciemnia orjentacji, jakieś niepojęte wprost krótkowidztwo i ciemnota myśli.

Alkoholizm ze społecznego punktu widzenia jest chyba tak oczywistą klęską i plagą najszerszych warstw, że właśnie w epoce, która na wszystkie strony szafuje hasłem demokratyzmu, walka z nim powinna być istotną, realną pozycją pierwszorzędnego znaczenia w każdym programie pracy pozytywnej.

I tak, jak nie zawsze dobrze zdajemy sobie sprawę, czem jest naprawdę ów demokratyzm, o którym tyle i z takim zapałem mówimy i święcie jesteśmy przekonani, że powodujemy się nim w życiu nawet wtedy, gdy czynimy właśnie to, co jest wręcz mu przeciwne — tak samo energicznie wmawiamy w siebie i w innych, że, rzecz prosta, jesteśmy gorącymi zwolennikami walki z pijaństwem, — bo jakżeż mogłoby to być inaczej — ale jednocześnie twierdzimy z dobrą miną, że parę kieliszków takiego, czy innego alkoholu, toć przecie nie zaszkodzi i nie jest pijaństwem wcale. Tu się kończy nasza pojętność — tego już nie możemy wyrozumieć, że granic kieliszkom wymierzać nie umiemy i nie możemy, i że one właśnie, te malutkie kieliszeczki, rozpoczynają korowody liczniejszych, większych, że one to idą kolejką, za którą ślad w ślad wlecze się czyjś krwawy ból. I właśnie moment tej beztroskiej, niezmąconej dufności w samego siebie, którą odznacza się każdy pijący troszkę, umiarkowanie, ale stale, codziennie, czy tylko w dnie uroczyste — jest ułudą, omamem, któremu bezkrytycznie ulegamy, a który jest najgroźniejszem niebezpieczeństwem, tkwiącem w nas samych i który należy najszybciej zlikwidować. Trochę krytycyzmu w odniesieniu do siebie samego, przydałoby się nam koniecznie na miejsce tej łatwej, taniej pewności, wyrażającej się w utartem powiedzeniu: „ja się nie stanę pijakiem".

Otóż dzieje obyczaju pijackiego w Polsce, ujawniające, jak stałe i ciągłe używanie alkoholu wyrobiło w nas głębokie wady, — a następnie

wyniki nowych badań nad działaniem małych dawek alkoholu, wykazujące stopniowe obniżenie intelektualnego i etycznego poziomu — czynią sprawę walki z alkoholizmem zagadnieniem pierwszorzędnem dla Państwa i dla Ludzkości całej.

(d. c. n.) *Hanna Nałęcz-Ostrowska Szymańska.*

PRZEZ PRYZMAT SĄDU.

V.

Kilka lat temu w jednym z prowincjonalnych Sądów Okręgowych toczył się niezwykły proces, który nie rozszedł się po kraju szerszem echem tylko dlatego, że zbiegł się z wewnętrznemi wypadkami politycznemi o decydującem znaczeniu. Wyrok uniewinniający, który wówczas zapadł i stał się w kilka miesięcy później prawomocny, nie wyjaśnił przyczyn śmierci Leona K. w stopniu, wykluczającym winę Innocentego Paschalisa. Ten stan rzeczy znalazł wyraz w motywach wyroku, które Sąd ogłosił, oraz w toku postępowania dowodowego. Poszlaki skupiły się około oskarżonego i przez cały czas trwania procesu oczekiwano jakichś decydujących zeznań, jakiegoś nieodwołalnego słowa, któreby usprawiedliwiło akt oskarżenia. I rzeczywiście, jak to wynika ze sprawozdań dziennikarskich, zebrano na użytek Sądu mnóstwo faktów i wydarzeń, odtworzono historję życia Paschalisa tak szczegółowo, jak historycy rekonstruują dzieje ludzi, którzy znakomitemi myślami lub czynami zasłużyli na pamięć potomnych. Ale w pewnem miejscu tej historji powstaje luka, którą można zapełnić jedynie przypuszczeniami. Jej granice są wyraźnie oznaczone:

1. O godz. 23-ej dwaj mężczyźni, Leon K., funkcjonarjusz wojewódzkiego Urzędu Śledczego, i Innocenty Paschalis, porucznik pospolitego ruszenia, przybyli do jednego z hoteli miasta Ł. i zarządali podwójnego pokoju. Boy hotelowy zaprowadził ich na drugie piętro, całkowicie niezamieszkane, a następnie przyniósł kolację, i — na specjalne zamówienie Paschalisa — litrową butelkę wódki. Na żądanie gości, miał ich obudzić o godz. 8-ej rano następnego dnia. Niestety, polecenia tego nie mógł wykonać.

2. Lekarz, który razem z Policją przybył do hotelu o godz. 8.30, stwierdził śmierć Leona K. od postrzału z broni krótkiej w okolicę prawej skroni. Paschalis leżał zupełnie pijany na łóżku.

Musimy sobie wyobrazić dwuosobowy hotelowy pokój. Wejście jest tylko jedno. Pod bocznemi ścianami stoją łóżka, między nimi dość szerokie okno, szczelnie zasłonięte firanką i dwie szafki nocne. Pod lewą ścianą, bliżej drzwi, — stół, na nim resztki kolacji. Po prawej ręce, w nogach łóżka, krzesło. Na niem siedział Leon K. Obecnie leży twarzą do podłogi. W prawej ręce, odrzuconej trochę od ciała, — rewolwer. Obok książka. Na łóżku — Paschalis, zupełnie nieprzytomny. Koło niego, na szafce nocnej, pusta butelka po wódce.

Jak już wspomniałem, przewód sądowy nie ustalił żadnych decydujących faktów, na których mógłby się oprzeć wyrok skazujący. Strzał został oddany z odległości nie większej, jak 50 cm. od miejsca wlotu ku-

li; lufa jednak nie była przykładana bezpośrednio do skroni. Śmierć nastąpiła nie później, jak o godz. 3-ej rano. Paschalis zeznaje, że Leon K. podczas kolacji nie pił prawie zupełnie wódki; on sam wypił prawie cały litr, a później stracił przytomność. Przypomina sobie tylko, że denat siadł na krześle w nogach łóżka, profilem zwrócony do niego i czytał książkę. Przyznaje, że między nim, a denatem miały miejsce poważne nieporozumienia, że Leon K. uwiódł mu żonę, ale, że te sprawy zostały już między nimi wyrównane w jakichś najintymniejszych, przyjacielskich rozrachunkach, i że w ostatnich latach nie było między nimi zatargów.

Tyle przewód sądowy.

Jeśli pozwalam sobie na publiczne odtwarzanie tych spraw, to nie dlatego, żeby wyświadczyć przysługę sprawiedliwości. Nawet wówczas, gdy Paschalis opowiadał mi o szczegółach owej tragicznej nocy, nie czułem potrzeby powierzenia ich komuś trzeciemu. Wybiegały one poza wyobrażenie przeciętnego człowieka o rzeczach najokropniejszych i przez swoją obcość i nierealność wymykały się uczuciowemu doświadczeniu, a stawały się rzeczywiste jedynie jako zobjektywizowane problemy, — nigdy, jako materjał oceny moralnej. Zresztą, już wówczas Paschalis był za pan brat ze śmiercią. Długiemi godzinami przesiadywał w fotelu, a wówczas kładła się na jego twarzy niepokojąca różowość. W kącikach ust zbierały się białe pianki śliny, z oczu uciekało światło, tylko nieforemne, rozlane palce wędrowały poręczami fotela tam i spowrotem. W czasie tych swoich zamyśleń był niedostępny i daleki. Dopiero późnym wieczorem wracał do życia, cichemi krokami obijał się po pokoju i opowiadał o tem, jak przez cały długi dzień wsłuchuje się w rytm obejmującej go choroby. W nocy choroba cofa się do jakichś nieznanych kryjówek, ale nad ranem daje o sobie znać cichem pulsowaniem, a on słyszy dokładnie, kiedy zaczyna się w jego ciele ta niszczycielska praca.

W niespełna rok po naszem ostatniem widzeniu się otrzymałem zawiadomienie o jego śmierci.

Innocentego Paschalisa poznałem w jednem z mało znanych europejskich sanatorjów. Gdy przyjechałem, był już jednym z najstarszych pacjentów, a jednak nie wiedziano tutaj, kim jest, ani na co się leczy. Wydaje się to mało prawdopodobne, ale to odosobnienie zawdzięczał Paschalis swojej niezwykłej wylewności. Zaskakiwał ludzi żywiołowością zwierzeń. Odstraszał ich. Chciał jaknajprędzej, jaknajdokładniej opowiedzieć wszystko, co wydawało mu się ważne i konieczne. Wówczas zdania ulegały jakimś przedziwnym skrótom, w których nie można było doszukać się sensu, a słowa, możliwe do uchwycenia, dotyczyły przeważnie spraw, które lękają się światła. Z tych słów bezładnych wybłyskiwały obrazy absurdalne i pozbawione wewnętrznego związku. Były to karty, wydarte z podręczników anatomji, jakieś masowe egzekucje, których dokonywała tutejsza kucharka, biało rozkraczona nad ciałami zwierząt i ludzi. Ponad mdlącym zapachem otwartych ciał unosiło się złotowłose imię kobiece: Emma, i w tem zestawieniu wyrażał się mistyczny związek między krwią a duchem.

To było przerażające, i ludzie odwracali się od Paschalisa, skazując go na osamotnienie. Nowych pacjentów ostrzegano przed nim, zanim zdążyli zgłosić się do kancelarji zakładu. Wtedy Paschalis zaczął wy-

chodzić poza bramę wjazdową, zrobił sobie punkt obserwacyjny na zakręcie szosy i tam czatował na przyjezdnych. Ale i to mu niewiele pomogło. Potrzeba zwierzeń wytwarzała w nim bolesne napięcia, które wobec obcych ludzi rozładowywały się w sposób gwałtowny i budzący odrazę. Opowiadania swoje zaczynał zwykle od miejsca najniewłaściwszego, od pewnych wniosków i konkluzyj, od natarczywych zapytań, na które nie mógł otrzymać odpowiedzi. Nagle zatrzymywał się przed pierwszym napotkanym człowiekiem i zaczynał mówić niesamowicie prędko, bez pauz, bez modulacji. Przysuwał się bardzo blisko, na twarzy wybłyskiwały mu przypochlebne, łaszące się uśmieszki, gwałtownie machał rękami, śpiczasta głowa z silnie odstającemi uszami trzęsła się niepokojąco i złowróżbnie, tak, że w tem swojem zapamiętaniu wyglądał jak wielki, oszalały nietoperz.

Nasze pierwsze spotkanie i pierwsza rozmowa pociągnęły za sobą długie, nieraz do rana ciągnące się konferencje. Zapraszał mnie do swego pokoju na czarną kawę. Pokój, który zajmował, wyglądał dość osobliwie. Poza szafą, łóżkiem, stolikiem nocnym i dużym klubowym fotelem, nie było tam innych sprzętów. Na ścianach wisiały gołe dziewczęta, powycinane z ilustrowanych pism, a obok fotela doskonała reprodukcja Mony Lizy Leonarda. Pod nią przybity był do ściany skrawek pergaminu, pokryty starannem, ozdobnem pismem.

— To moja codzienna modlitwa — powiedział Paschalis, gdy odwiedziłem go po raz pierwszy — chcę ją panu przeczytać, bo tu będzie pan musiał szukać wyjaśnienia wielu spraw, których ja panu nie potrafię dokładnie wytłumaczyć. To nie potrwa zbyt długo.

Paschalis siadł w swoim fotelu i zaczął mówić bardzo cicho i bardzo powoli:

— „Kogóż to obchodzi, że Pater dostrzegł może w obliczu Mony Lizy coś, o czem Leonardo wcale nie śnił? Bardzo być może, że malarz był tylko niewolnikiem archaicznego uśmiechu, jak niektórzy twierdzą; ale ilekroć chodzę po chłodnych galerjach Luwru i przystaję przed tą dziwną postacią, która „spoczywa na marmurowem siedzeniu, w kręgu fantastycznych skał, oblana bladem światłem, rozjaśniającem morskie głębie“ — za każdym razem szepczę: „tak, ona jest starsza od tych skał, co ją otaczają; jak feniks umierała już kilkakrotnie i posiadła tajemnice grobu; była nurkiem w głębokich morzach, i z kupcami wschodu targowała się o kosztowne tkaniny, i była jako Leda matką Heleny trojańskiej, a jako Anna — matką Marji; a wszystko to nie było dla niej niczem innem, jak muzyką fletów czy lutni i zaznaczyło się tylko tą niesłychaną grą wyrazu w oczach i linjach rąk“. I mówię do towarzyszącego mi przyjaciela: „istota, co oto tak dziwnie wyłoniła się nad brzegiem wód, mówi nam, czego zapragniemy po tysiącletniej wędrówce“. A on odpowiada: „na głowę tę padał zmierzch każdego kresu świata, więc oczy jej są nieco zmęczone“ .I tak obraz staje się dla nas cudniejszym, niż jest w rzeczywistości i objawia nam tajemnice, których sam nie zna, a muzyka tej prozy rytmicznej w uszach naszych dźwięczy równie słodko, jak dźwięki owego flecisty, co ustom Giocondy nadały ten wyraz subtelny, a siejący spustoszenie“.

Trudno mi było powiedzieć cokolwiek. Spytałem:

— Dlaczego to, dlaczego to właśnie? Zdaje się, że pan jest bardziej szalony, niż mi się dotychczas wydawało.

Paschalis śmiał się cichutko i złośliwie.

— A wie pan, drogi panie, — zaczął mówić — że gdybym te słowa znał kilkanaście lat wcześniej, nie byłoby mojej historji? Gdybym wiedział, że to wszystko jest napisane, tak przejmująco napisane, nie szukałbym własnych doświadczeń. Człowiek, który to napisał, człowiek, który namalował ten czarodziejski obraz — musieli mieć niesamowitą, królewską wyobraźnię. Nie wstając z fotela, nie wypuszczając pędzla z ręki, dotarli do jądra spraw, któremi ja żyłem rzeczywiście, realnie, nie w fantazji, a w spełnianiu czynów konkretnych, — i nie mogłem przebić się przez ich zewnętrzny kształt. No, dzisiaj to jest oczywiście zapóźno: nie można zacząć życia od nowa, ale przecież można, i nie tylko można, a trzeba, swoim długoletnim doświadczeniom nadać ojcostwo i imię. W tych wyszukanych słowach, które przecież nie były panu obce, w ich rytmice, w ich sensie, daleko wybiegającym poza powszedni sens słów, zamknięta jest tajemnica przerażających doświadczeń. Oczywiście, jest to wymowa najbardziej dalekich symbolów, — ale niech się pan dokładnie wsłucha w muzyczność tych zdań, a odnajdzie w nich pan zastanawiające pokrewieństwa z pewnemi sprawami... — ściszonym, drapieżnym, podchwytującym, a zarazem przymilnym szeptem — którym może i pan ulegał... — długa pauza — w najskrytszych marzeniach...

Więc najpierw dzieciństwo i młodość. Paschalis kładł silny nacisk na przeżycia młodzieńcze. Bo, proszę pana, — mówił, — tutaj dokonywują się sprawy zasadnicze, postanowienia decydujące. Dziś mogę to dokładnie ocenić. Wówczas przeżywa się prawdziwie, a wszelkie możliwości wybiegają nam naprzeciw. Trzeba tylko wybierać, no, i trzeba umieć dokonać wyboru. Pozatem, przeżywa się tragicznie: myśli i zdarzenia zastają młodego chłopca całkiem bezbronnego i uderzają bezpośrednio — w odkryte serce. Przychodzą pierwsze konflikty i negacja rzeczywistości. To są oczywiście sprawy banalne i u wszystkich przechodzą mniej więcej jednakowo. Tak, właśnie przechodzą. Ale u mnie nic nie „przeszło“, — i tutaj zaczyna się właściwa historja.

Czytał pan „Wędrówkę Joanny“? Gdybym był pisarzem, napisałbym właśnie taką książkę, a może nie taką, tylko — tak bym napisał. To będzie ściślej. Otóż, jest tam malutka, zabawna scenka: młody chłopak podgląda przez szybę śpiące dziewczęta. Robi to często, każdej nocy. Otóż, tak symbolicznie biorąc, to właśnie jestem ja. Bo niech pan zechce zauważyć: we mnie zawsze było coś niespokojnego, coś, co stawiało pytania, doszukiwało się jakichś związków niezwykłych między sprawami, które dla wszystkich pozbawione były niezwykłości. Wydawało mi się zawsze, że między mną, a zdarzeniami, przedmiotami i ludźmi istnieje jakaś niewidzialna zapora. Właśnie: szyba, kawałek szkła. Więc patrzę przez tę szybę, patrzę, no, choćby na te dziewczęta, tak, jak chłopak ów, Aleksander. Przychodzę jednej nocy, drugiej — może właśnie była noc miesięczna, — a białe panny leżą odkryte, wypięknione księżycowo...

Pan mnie rozumie? życie można traktować jak sztukę, trzymać się przy samej powierzchni, przy naskórku, ale na to trzeba przejść wiele filozofji, albo urodzić się idjotą. A ja miałem wówczas lat 16-ie i byłem

mądrym chłopcem. Więc oczywiście tłukłem szyby i — jak się pan może domyślić — nie znajdowałem poza niemi nic godnego uwagi. Ale któż umie wykorzystywać doświadczenia ku własnemu pożytkowi! Więc nie słabło we mnie przekonanie, że poza widocznym kształtem rzeczy i zdarzeń, kryją się jakieś oszałamiające tajemnice. Poprostu trzeba je odkryć. No, i zacząłem odkrywać — w kawiarni i restauracji pana Wincentego Niedziałka. Godna to była knajpa, niecodzienna! Dziś takich rzeczy się nie widzi, ale niech pan pamięta, że to był rok 1910, zabór rosyjski — ojczyzna oszalałych filozofów, knajpianych reformatorów, proroków przy butelce czystej. To był dla mnie świat nieznany i fascynujący. Kilka wysmukłych kieliszków, które perliły się zimnym szronem, — a odrazu szara codzienność zaczynała nabiegać kolorami, z martwych przedmiotów występował ich sens dotychczas ukryty i otwierał się przedemną najbardziej ulegle. Wiedziałem wówczas, że jest obok mnie jakaś inna rzeczywistość, której przeczucie tajemniczo i miłośnie wypływało z symboliki marzeń... Proszę posłuchać:

„O, metamorphose mistique,
De tous mes sens fondus en un!
Son halaine fait la musique,
Comme sa voix fait le parfum".

Temi wierszami płynęły moje młodzieńcze, krwawiące lata. Tylko, Baudelaire napisał te wiersze, a ja nic nie napisałem. Pan rozumie tę zasadniczą różnicę? On wyniósł stamtąd swoje słowa, swoją sztukę, swoje widzenie rzeczy. Wyraził związek między sprawami, które nie wiążą się z sobą konkretnie i rzeczywiście i w takiem spełnieniu odnalazł siebie i uchronił od zagłady. A ja? Ja wyżywałem się w uczynkach, a nie w myślach, i gdybym posiadał wówczas moje obecne doświadczenie, oszczędziłbym panu naszej dzisiejszej rozmowy. Tak żyłem kilka lat, feerycznie, nocnie, księżycowo, i uciekałem przed światłem dnia, które nie sprzyja marzeniom.

Potem przyszła wojna i zastała mnie w randze podporucznika w wojsku rosyjskiem. Byłem przydzielony do oddziału żandarmerji. Stacjonowaliśmy w jakimś odciętym od świata garnizonie, przy więzieniu dla przestępców politycznych. Codziennie wykonywano tutaj po kilka wyroków, a wszystkie ranki zastawały nas przy cichem, ponurem pijaństwie. W tym czasie zdarzył się wypadek, który wpłynął na całe moje życie w sposób ostateczny i decydujący.

Opowiadanie Paschalisa, które w miarę możności staram się skracać, muszę w tem miejscu zastąpić własnemi słowami. Te dawne przeżycia miały tak silną władzę nad nim, że nie mógł mówić o nich w sposób, nadający się do powtórzenia. Zdania zaczynały ulegać zgęszczeniom trudnym do zrozumienia, a w określaniu pewnych sytuacyj występowały słowa rażące i prostackie. Zresztą, Paschalis niczego nie mówił wprost, nigdy nie wypowiadał się konkretnie i zdecydowanie. Każda jego opowieść dawała się interpretować w sposób wieloznaczny, gwałtownie uchylał się przed niektóremi pytaniami, a jednocześnie potakującym i umizgliwym uśmieszkiem dawał do zrozumienia, że wnioski, do których dochodzimy, są oczywiście słuszne.

Zdarzenie to wyglądało następująco: Komendantem żandarmerji był brodaty i zimnooki pułkownik. Wyróżniał się spomiędzy swoich podwładnych tem, że nigdy nie pił wódki, nie klął, i nie mówił rzeczy zbytecznych. Paschalisa otaczał specjalną opieką, a nawet czemś w rodzaju sympatji. Któregoś dnia uwięziona została w jednej z cel młoda działaczka rewolucyjna. Wyróżniała się wybitną urodą i pewnego razu pułkownik, rozmawiając z Paschalisem o sprawach służbowych, wtrącił na pożegnanie: „niech się pan, poruczniku, zajmie tą naszą dziewczynką. Nudno tu panu, samotnie... Jakby się bardzo opierała, niech pan powie, że zwolnimy. — Ciszej, przy samym uchu Paschalisa: — papierek podpiszę“. — Paschalis otrzymał imienny rozkaz zwolnienia, opatrzony podpisem pułkownika. Dokument ten wręczył komendantowi więzienia, a sam spędził kilka godzin w celi uwięzionej dziewczyny. Następnego dnia miał asystować przy wykonaniu kilku wyroków i obiecywał sobie, że zaraz po skończeniu godzin służbowych, zajmie się formalnościami, związanemi z wykonaniem rozkazu zwolnienia. Ale pierwszą skazaną, którą tego dnia powieszono, była jego dziewczyna.

Paschalis opowiada, że podczas wykonywania wyroku, oprócz szalonego przerażenia, wstydu i wściekłości, ogarnęły go jeszcze inne uczucia, których narazie nie potrafił nazwać. Pamięta, że sięgnął ręką do kolby rewolweru, ale w tej chwili napotkał spokojne i cokolwiek drwiące oczy pułkownika, i ręka mu opadła. Wtedy zaczęło wzbierać w nim jakieś przejmujące cierpienie, jakaś wzniosłość nadludzka, którą się niebywale, purpurowo uświetnił. Wydało mu się, że jest bohaterem i męczennikiem: odrzucił wszystkie względy ludzkie, stłumił gwałtowne trzepotanie serca, godność swoją i honor podeptał w imię żołnierskiego nakazu, w imię idei martwej i bezcielesnej, którą on, Innocenty Paschalis, wynosi ponad swoje człowieczeństwo. Tak to mu się wtedy pięknie wydało, gdy stał tam wyprostowany i niemy, w mroźnych podmuchach samotności. Ale zaraz powstały inne uczucia i jak ostre, łaskotliwe pazurki rozbiegły się po ciele. Dzień wczorajszy i chwila obecna najprzedziwniej połączyły się ze wspomnieniem chłopięcych poszukiwań, z tęsknotą za wtajemniczeniem w istotę procesów i rzeczy, za zrozumieniem ich podwójnego oblicza, przeznaczenia ostatecznego, treści jedynej i niepodzielnej. — Wie pan — mówił — że życie ukrywało przedemną swój sens istotny, który przeczuwałem pod powierzchnią zdarzeń, a teraz wydało mi się, że na krótką chwilę spłynęło na mnie zrozumienie rzeczy, które objawiają się tylko wybranym. To było wstrząsające i rozkoszne.

Wielką wojnę odbył Paschalis do końca w wojsku rosyjskiem. W ciągu tych kilku lat jego nazwisko związało się z szeregiem czynów okrutnych i zupełnie szaleńczych. Opowiadano o masowych mordach, którym przewodził, o niezrozumiałem zapamiętaniu w gnębieniu jeńców wojennych. Pierwsze miesiące niepodległości spędził w zakładzie psychjatrycznym, chory na delirjum tremens. Był wówczas oficerem Wojsk Polskich i po wypisaniu ze szpitala dostał przydział do służby śledczej przy Korpusie Ochrony Pogranicza na kresach wschodnich. Był to okres wielkiego niepokoju, ziemie pograniczne nękane były ciągłymi najazdami band dywersyjnych, rozbojami, które zamieniały się w małe lokalne wojny. A pozatem nuda, wódka, morfina, którą używał około roku, i którą rzucił po ponownej kuracji w zakładzie.

W tym czasie Paschalis poznał Emmę.

— Wie pan, że do dzisiejszego dnia nie potrafiłem wyzwolić się z takich sentymentalnych, „mieszczańskich“ tęsknotek. A wówczas, im bardziej koczownicze i okrutne było moje życie, tem natrętniej nawiedzały mnie wizje życia sielskiego, płynącego bezwzględnym spokojem i cichą radością. Wie pan, coś takiego:

„Chciałbym mieć dom z Bożej łaski,
maleńki, jak te obrazki,
co maluje Stanisławski“.

To chyba zrozumiałe, co? Więc jakieś pelargonje w oknach, białe firanki, wygrzane poduszki, pończoszki leżą na podłodze, takie cienkie, jedwabne i pantofelki ranne, klapiące, które tupoczą po domu białemi nóżkami, potem szmer wody w łazience, zapach naparzanej kawy, który zgęszcza się powoli, jak sen. No, i wówczas poznałem Emmę.

Przywiozłem ją sobie tutaj, na strażnicę, do białego domku, do barwnego ogródka, który wówczas rozkwitał jabłoniami. To było bardzo pięknie, i właśnie sielsko, tak, jak w tym wierszu. Dziewczęce lata Emmy, uśmiechały się niebieskiemi oczami, które niedawno jeszcze były zmęczone i smutne. Wyrwałem ją z nędzy. Z miejskiej nędzy, — najstraszniejszej. Musiało być coś bardzo bolesnego w jej życiu. Patrzyła na mnie pytająco, niepewnie, trwożliwie, a najszczersze wybieganie mojemu sercu naprzeciw drżało w jej krokach przyczajoną nieufnością. Była delikatna, trochę jakby nieobecna, — no, a życie tutaj stało się dla niej niedoudźwignięcia. Bo sielsko tu było tylko zewnętrznie, spozoru i to tylko wiosną i latem. Jesienie i zimy były ponure i wyjące nudą. A moje zajęcia? Póki mogłem, ukrywałem przed nią wiele spraw, ale nawet jej nieobecne oczy powoli wypełniały się zrozumieniem i mdlały z lęku. Obcość i nieprzychylność kładły się między nami, a to było najgorsze, co mogło mi się zdarzyć. Z nią odnajdywałem głęboko obejmujące zrozumienie dla czegoś, czego nie można wyrazić słowami. Było ono tak samo wstrząsające, jak tamto, przed kilku laty, na miejscu straceń, i takie, jak to, które spływało na mnie żądzą mordu i krwi. Bo przecież byłem z nią nie tylko, jak z białą skórą, której mięso nadaje formę kuszącą serce, ale jak z rozlaną po koniuszki palców duchowością, która objawia się ciałem i śpiewa w pocałunkach.

Proszę pana, to trzeba sobie dobrze pomyśleć i dokładnie wyobrazić: wokoło mnie zaczynało się robić jaśniej, a tęsknota za rzeczami nieznanemi nie tak boleśnie dawała się odczuwać. W życie moje wszedł pierwiastek pogodzenia się z rzeczywistością, a chociaż tkwiła w nim gorycz rezygnacji, zacząłem przyzwyczajać się do jej smaku. I nagle wszystko bierze w łeb, wszystko się rozpada, a ja nic nie mogę na to poradzić. — Dziś wiem, że to było nieuniknione.

— Nieuniknione? — przerwałem mu — pan, panie Paschalis, jest, zdaje mi się, czemś w rodzaju fatalisty; z tem nie można daleko zajechać.

— Nie cofam tego słowa! Pan o tem jeszcze nie wie, że rzeczywistość, o ile ją się raz porzuciło, potrafi się mścić boleśnie. Ludziom, którzy chcą do niej powrócić, jedyna droga tylko pozostaje: droga przełamywania się i cierpienia. Muszą okupić swoją niewierność bólem, łzami

zniechęcenia, godzinami bolesnych wzlotów i upadków boleśniejszych jeszcze. Ale rzeczywistość długo każe się przepraszać, a w jej przebaczeniu kryje się niewygasła uraza i tajony gniew.

Więc znowu zaczęło się pijaństwo. I wie pan? — codziennie jeździliśmy do Warszawy. Był tam taki zdymisjonowany naczelnik stacji, takiej małej, głuchej stacyjki. Ten umiał cały rozkład jazdy na pamięć, pamiętał nazwy najmniejszych przystanków. Więc ustawiało się na okrągłym stole kieliszki, dużo kieliszków, dwadzieścia, trzydzieści, a nawet pięćdziesiąt. Chłopiec lał wódkę, a nasz zawiadowca wkładał czapeczkę, chorągiewkę brał do ręki i wołał: gotowy! Wtedy my ustawialiśmy się naokoło stołu, on przed nami, i tak: jeden kieliszek, jedna stacja. Nasz zawiadowca dawał sygnały, a jakże, a my maszerowaliśmy naokoło stołu z powagą i w skupieniu. Były i większe stacje, węzłowe, no i tam zawsze postój był dłuższy, parowóz brał wodę, i jakieś inne rzeczy były do załatwienia, o których długo i mądrze opowiadał pan zawiadowca. No, i wie pan, żeśmy nigdy nie mogli dojechać do Warszawy? Zawsze gdzieś koło Małkini leżeliśmy pod stołem, tylko czasami pan zawiadowca samotnie, z wielkim wysiłkiem, w poczuciu służbowego obowiązku, jechał dalej, żeby wykoleić się wreszcie u samego celu podróży.

A raz, wie pan, zamówiłem mięso u rzeźnika. A wtedy bandy dywersyjne w okolicy grasowały i cenę nałożyłem na głowę każdego z przywódców — niewielką: 20 dolarów. Więc miałem kilku takich chłopców, co mi tych głów dostarczali po 5 dolarów sztuka, a ja miałem na czysto 15-ie. I właśnie dnia tego, w którym to mięso zamówiłem, przyszedł do nas, — a mnie nie było w domu — jakiś chłopak z płóciennym woreczkiem. Pyta się żony: — „Jest pan w domu?“ — „Nie, niema, a co tutaj macie?“. A on powiada: — „A nic, pan u mnie mięso zamówił, zostawię może“. Więc żona wzięła woreczek i mięso chce wyjąć, żeby na obiad było, a tutaj czuje pod ręką włosy jakieś i nie wie jeszcze, co to jest i idzie z tem do światła, no i, panie kochany, wali się na podłogę. Ja przychodzę, a żona leży nieprzytomna, a koło niej głowa ludzka, zaplątana włosami w jej palce. A potem wysłałem Emmę do Warszawy. Myślałem: zapomni i wróci. I nie wróciła. Została z Leonem.

Paschalis musiał postępować ostrożnie. Leon K. był człowiekiem trudnym do podejścia. Miał poza sobą długoletnie doświadczenie urzędnika służby śledczej, a jednak uległ Paschalisowi. Ich ostatnie spotkanie zostało w najdrobniejszych szczegółach opracowane przez Paschalisa. W chwili, gdy Leon K. siadł na krześle, w nogach łóżka, los jego został przesądzony. Paschalis przeczekał długą chwilę, wolno uniósł się na łokciu lewej ręki i z odległości 20 centymetrów, strzelił. Potem wytarł broń i naokoło kolby rewolweru zacisnął palce denata. Wreszcie wypił wódkę, uprzednio przygotowaną i położył się do łóżka.

Chcę dodać małe wyjaśnienie: opowiadanie Paschalisa podaję w dużym skrócie, dlatego może niezbyt jasno zarysowują się te psychologiczne mechanizmy, które wyjaśniają jego wewnętrzną sytuację. Pozatem, musiałem zadowolić się najbardziej ogólnikowem omówieniem szeregu spraw zasadniczych, ze względu na ich drastyczny charakter.

Zdaje mi się jednak, że na podstawie podanych tutaj faktów można sobie wyrobić pewien sąd o przyczynach tragedji Innocentego Paschalisa.

Michał Klimowicz.

WESOŁY KĄCIK.

Kłam, lecz znaj miarę.

Przysłowie rosyjskie.

W pewnym poważnym dzienniku stołecznym zjawił się „artykuł", omawiający zalety i zasługi monopolu spirytusowego w Polsce.

Reklama — jak reklama — nie może nie odznaczać się pewnego rodzaju samochwalstwem.

Ale gorliwiec, wynoszący pod niebiosa doskonałość monopolu, nieco przeholował i wskutek tego panegiryk jego kwalifikuje się raczej do humorystyki inseratowej, a nie, jak tego chciał zapewne autor — do publicystyki.

Takie mimowolne żarty są czasem zabawniejsze od robionych „kawałów".

Autor sugeruje, że przy wprowadzaniu w Polsce w r. 1925 monopolu spirytusowego „obok względów fiskalnych, gospodarczych oraz chęci popierania i ochrony gorzelnictwa rolniczego zaważyły również na szali *względy natury moralnej*". Monopol miał być: „aparatem państwowym pożytecznym zarówno pod względem finansowym, jak i pod względem zdrowotności publicznej"... „Do prac i manipulacji Dyrekcji... zastosowano metody naukowej organizacji pracy". Zwiększając swe dochody, monopol osiągnął to „nie *zwiększając* spożycia napojów alkoholowych, t. j. nie popierając szerzenia się pijaństwa. Wprost przeciwnie ceny detaliczne wyrobów spirytusowych starano się tak skalkulować, aby wysokość obciążenia działała *hamująco* na spożycie napojów alkoholowych..." Monopol odniósł „wielkie sukcesy finansowe i moralne". „Sukcesy te są tem bardziej znamienne, że wzrost dochodów nie szedł w parze ze wzrostem spożycia napojów alkoholowych, przeciwnie, podczas gdy spożycie zmniejszało się, dochody znacznie się zwiększały". „Z całą stanowczością należy stwierdzić, że umiejętnie prowadzony monopol spirytusowy, to olbrzymie źródło fiskalne dla Państwa — *to sprawny oręż do walki z alkoholizmem, wreszcie to najkrótsza droga do trzeźwości narodu. Wbrew więc wszystkiemu, co częstokroć twierdzą ludzie, nieznający istoty i charakteru organizacji monopolowej, nie tylko nie służy on celom spajania ludności, lecz przeciwnie, jest raczej czynnikiem zmniejszenia spożycia napojów alkoholowych*".

I czegóż tu niema? I naukowa organizacja pracy, i zdrowotność publiczna i moralność! Słowem wódka, to lek uniwersalny- Co za bukiet zasług!... aż zatyka, aż mdło się robi!... Bez monopolu zginęlibyśmy, jak rude myszy w popiele! — Oczywiście, niezawodnie!!

Teraz dopiero rozumiemy, dlaczego zniesiono ustawę przeciwalkoholową — była ona przeszkodą w misji sanitarno-obyczajowej monopolu spirytusowego!

Dosiadając Pegaza wódczanego, gazując z autorem „pochwały monopolu", wyrażamy nadzieję, że na najbliższym Międzynarodowym Kongresie wychowania moralnego, sensacyjny i rewelacyjny referat wygłosi Naczelny Dyrektor Polskiego Monopolu Spirytusowego p. t. „Wódka, jako czynnik zdrowia fizycznego i tężyzny moralnej ludzkości", a na Międzynarodowym Zjeździe Kryminologów tenże szanowny Dyrektor

olśni wszystkich wspaniałym referatem p. t. „Czysta wyborowa, jako środek prewencyjny w walce z przestępczością".

Ale nie ulatujmy w zbyt górne i chmurne regjony... wracajmy na ziemię, wstąpmy do redakcji poważnego dziennika w Stolicy Monopolski i zapytajmy pokornie: rozumiemy zadania reklamy, jej ton przesadny, dytyrambiczny — wiadomo — każda pliszka swój ogon chwali — ale jednego zrozumieć nie można: umieszczania bzdur reklamiarskich w dziale redakcyjnym — przecie do tego celu służą zwykle... ogłoszenia.

Hr. Witte — praojciec monopolu szepnął w grobie: mołodcy!*).

Sceptyk.

Z FRONTU WALKI Z NARKOMANJAMI.

CHINY Z PUNKTU WIDZENIA OPJUM I ŚRODKÓW ODURZAJĄCYCH.

Najpoważniejsze zmiany na rynku wszechświatowym w związku z opjum i środkami odurzającemi dają się zaobserwować w Chinach.

Rząd tamtejszy ponownie zalegalizował opjum na przeciąg lat sześciu, w ciągu których wyrób, sprzedaż i spożycie legalne winny być stopniowo zmniejszane tak, aby w roku 1940 ustać zupełnie. To istotne i stopniowe zmniejszanie jest przeprowadzane przez Państwowy Monopol Opjumowy.

Przeciwko fabrykacji, sprzedaży i nielegalnemu spożyciu środków odurzających, silnie działających, przedsięwzięto energiczną walkę, mającą na celu uwolnienie Chin od narkomanji.

Wydane zostały rozporządzenia, które dokładnie rozpatrują wszystkie fazy zagadnienia opjumowego, jako też środków odurzających. Kary, przewidziane za wykroczenia wobec nowych przepisów, wykazują różną skalę, aż do kary śmierci włącznie.

I rzeczywiście, wykonane dotychczas wyroki śmierci dotyczą kilkudziesięciu przypadków tego rodzaju przekroczeń.

Przeciwko chłopom, którzy stawiali opór wobec przedstawicieli władzy wykonawczej, przysłanych dla niszczenia hodowli maku, były wytoczone karabiny maszynowe.

Podobnie skazywano na karę śmierci handlarzy narkotyków, przyczem wyroki były istotnie wykonywane; ten sam los spotkał tych narkomanów, którzy po powrocie ze szpitali, gdzie byli poddawani kuracji odwykowej, ponownie popadli w dawny nałóg.

Karze śmierci ulegli również piloci, przyłapani na gorącym uczynku potajemnego przewożenia narkotyków, oraz oficerowie marynarki, którym udowodniono, iż ułatwiali przemyt opjum, lub innych środków odurzających. Sceptycy powiedzą, że jest to poprostu sensacyjna inscenizacja. Jednak bezstronni krytycy muszą przyznać, że tego rodzaju przepisy, nie mające sobie równych w żadnym kraju, dowodzą istotnej i mocnej chęci zniszczenia nielegalnego handlu.

Palaczy opjum i narkomanów kieruje się w Chinach do fabryk państwowych, gdzie są kształceni w jakimś zawodzie, jednocześnie zaś przechodzą kurację odwykową.

---

*) Zuchy.

Wiadomości, jakiemi rozporządzamy, nie są jednak wystarczające, aby zdać sobie sprawę z całokształtu zagadnienia na obszarze tego państwa.

Brak nam szczegółów, dotyczących wewnętrznego ustroju machiny, powołanej do życia przez Rząd w celu wprowadzenia rozporządzeń i przepisów. Oficjalnie nic też nie jest wiadomem o jedynej rzeczy, jaka mogłaby poważnie zagrozić systemowi walki w jego całokształcie, — nie wiemy mianowicie, jakie są istotne dochody Rządu dzięki wpływom, zyskanym z Monopolu Opjumowego. Zczasem dopiero dowiemy się, czy dochody, jakie daje opjum, a które dla wielu rządów stanowią poważną przynętę, nie będą nią również dla Chin — czy znikną one w rzeczy samej w 1940 roku.

Nie posiadamy również danych, które pozwoliłyby stwierdzić, że wysiłki, jakie czynią handlarze japońscy, aby osłabić, zdemoralizować i przekupić ludność chińską, zrobić z niej naród narkomanów, — przekonały wreszcie rząd chiński o konieczności energicznego zwalczania narkomanji. Nie wiemy zupełnie, czy obecne stanowisko rządu chińskiego jest logiczną i nieuniknioną fazą obudzenia się i odnowienia Chin, czy też należy je zawdzięczać wybitnej osobowości marszałka Chian Kai-Shek — jego przenikliwości, graniczącej nieledwie z jasnowidztwem.

Jakiekolwiek są przyczyny i powody zdecydowanej postawy rządu Chińskiego w tej mierze, odnosi się wrażenie, że istotnie tego rodzaju stanowczość istnieje.

Cel — wytępienie narkomanji, niełatwy sam w sobie, komplikuje się przez trudności, jakie trzeba przezwyciężyć, a którym podobnych nie spotyka się w żadnym innym kraju.

Odległości, brak środków komunikacji, bandytyzm, zakazy militarne i przekupstwo, nacisk ze strony Japonji, handlarze japońscy, mocno zainteresowani, granice i kupcy zagraniczni, związki handlarzy narkotyków, i dyplomacja, koncesje cudzoziemskie i przemyt zagraniczny, eksterytorjalność i nadzwyczajne zyski, — wszystko to stwarza sytuację, trudną do opanowania, którą niełatwo byłoby uregulować w sposób zadawalający nawet w warunkach bardziej sprzyjających, aniżeli spotykane w Chinach.

The Anti - Opium Information Bureau w Genewie.

Nr. 23 z 20.5. 1935 r.

W PRZEDDZIEŃ 20-TEJ SESJI OPJUMOWEJ KOMISJI DORADCZEJ LIGI NARODÓW.

Nikt z członków Opjumowej Komisji Doradczej nie posiada dokładnych wiadomości o istocie wrogich społeczeństwu sił, znajdujących swój wyraz z ilościach środków odurzających, które zasilają nielegalny handel światowy. Komisja nie zna również czynników, jakie rządy wysuwają przeciw narkotykom w swej walce z narkomanjami. Niewątpliwie handlarze narkotyków są lepiej poinformowani o Komisji, niż Komisja o handlarzach. W tych warunkach skoordynowana ofensywa przeciw nielegalnemu przemysłowi staje się nieskoordynowaną walką,

gdy idzie o handel nielegalny w osobach handlarza i narkomana, celowa bowiem i skuteczna jest niemożliwa. W niewielu tylko krajach władze posiadają ścisłe dane o liczbie narkomanów.

W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej narkomani zgodnie z oświadczeniem władz krajowych, stanowią jeden pro mille ogółu ludności, a na 100 lekarzy przypada jeden narkoman.

Te same władze oceniły na 6 gr. codzienną przeciętną dawkę narkomana. W ten sposób możnaby w przybliżeniu ustalić nielegalne spożycie Stanów Zjednoczonych w ciągu roku. Sądząc z powyższych danych, roczne spożycie przekracza 14 tonn narkotyków.

Stosunek liczby narkomanów do ogólnej liczby ludności jest znany również w kilku innych krajach. Tym sposobem zyskujemy dane dla ustalenia bodaj w przybliżeniu ilości nielegalnego spożycia środków odurzających na całym świecie.

Jest zatem tylko kwestją czasu (kilku tygodni lub lat), aby Komisja Doradcza rzuciła pewne światło na źródła, z których czerpie handel nielegalny. Komisja winna przedewszystkiem stwierdzić, czy handel nielegalny jest częściowo zaopatrywany przez fabryki funkcjonujące legalnie, czy też handlarze narkotyków zaopatrują się wyłącznie w fabrykach pokątnych.

Istnienie fabryk nielegalnych zostało stwierdzone podobno we Francji, w Turcji, w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, w Bułgarji, w Mandżu-Kuo, na Formozie i w Chinach. Według wszelkiego prawdopodobieństwa podobne fabryki istnieją również i w innych krajach. Handlarze przenoszą obecnie swoje penaty na Daleki Wschód. Niektórzy z nich emigrują z Tunnanu do Mandżu-Kuo. Z Turcji donoszą o zmniejszeniu się fabrykacji nielegalnej. Opjum perskie w sposób nielegalny przedostaje się do Chin. Skonfiskowane narkotyki nie zawsze ulegają zniszczeniu. W niektórych krajach produkcja opjumu zwiększa się. Europejczycy, zamieszani w sprawy narkotyków, otrzymują prawo osiedlenia się w krajach, wytwarzających opjum i nie są niepokojeni, póki nie zostaną przyłapani na gorącym uczynku nielegalnego handlu lub wyrobu narkotyków. „Mandżu-Kuo“ przyznaje, że siedem pro mille ludności używa środków odurzających.

Sądząc z danych statystycznych, nadsyłanych przez rządy, wejście w życie Konwencji o ograniczeniu fabrykacji z r. 1931 spowodowało ograniczenie produkcji legalnej do potrzeb legalnych. Wydaje się, że Konwencja z r. 1931 usunęła trudności, które rzekomo uniemożliwiały ograniczenie fabrykacji legalnej do potrzeb legalnych i kontrolę dostaw legalnych.

Tem samem zagadnienie fabrykacji nielegalnej, handlu nielegalnego i narkomanji, zasilanej przez nielegalną fabrykację, pozostaje nadal nierozstrzygnięte.

Słowa prezydenta Roosevelta, aby „postępować w taki sposób, żeby wojna nie przynosiła zysków“ nie znalazły jeszcze zastosowania w walce z handlem nielegalnym środkami odurzającemi. Nie podjęto na terenie międzynarodowym żadnej próby przekonania się, czy nie byłoby możliwe „postępować w taki sposób, aby handel narkotykami nie przynosił zysków“.

Stworzenie w Ameryce klinik specjalnych, a w Chinach szpitali

specjalnych dla leczenia narkomanów dają rękojmię, że niedaleko jest chwila, gdy stanie się możliwem wyrwać narkomana ze szponów handlarza.

Należy stwierdzić, że sprawa narkomanji nie została jeszcze rozwiązana. Istnieją liczne kraje, w których nie zrobiono nic dla ukrócenia działalności handlarzy. Narkotyki przenikają wszędzie, nawet do więzień. Narkomanja szerzy się w armjach niektórych państw bez żadnych przeszkód. Nikt się tą sprawą nie interesuje, nikt jej nie bada. Przeważnie unika się dziś jeszcze poruszenia sprawy narkomanji w związku z lotnictwem. Rządy pewnych państw w dalszym ciągu ciągną zyski ze sprzedaży opjum. Stara polityka milczenia nie ustąpiła miejsca szczerości i otwartości. Konfiskowane ilości narkotyków są ilościowo zbyt małe, aby konfiskaty mogły nastraszyć lub zniechęcić przemytników i handlarzy. Jaka jest roczna produkcja nielegalnych fabryk, ujawnionych w Szanghaju, tego nam nikt nie powie. Publiczność nie dowie się prawdy o istnieniu potężnej organizacji handlarzy narkotyków, czynnej w Szanghaju i jego okolicach. Może natomiast dowiemy się, że odkąd Persja stała się Iranem, opjum perskie przestało zaopatrywać handel nielegalny.

Po czternastu latach wysiłków praca Ligi Narodów nie wykazuje wyników, jakich wolno się było spodziewać. Człowiek ulicy widzi, że handel jest prowadzony jak dawniej, że istnieją tysiące narkomanów, że setki tonn środków odurzających są sprzedawane corocznie w sposób nielegalny i zdrowy instynkt mówi, że albo rządy są uczciwe, a sposoby postępowania wadliwe, albo, jeśli zarządzenia nie wykazują braków, to widocznie nie są uczciwie wykonywane.

Jest rzeczą przedwczesną wyrokować o sytuacji w Chinach. Rząd chiński wykazuje istotną chęć uwolnienia kraju od opjum i środków odurzających. Zmiana metody jest widoczna, ale brak danych statystycznych nie pozwala się zorjentować w całokształcie. Sądząc z posiadanych informacyj, osiągnięto znaczny postęp od czasu, gdy jedynym materjałem była lakoniczna wzmianka: „Opjum w Chinach jest zakazane". Rząd dzisiejszy bierze na siebie obowiązek walki z nadużyciem.

Zarzut tak często powtarzany, że koncesje cudzoziemskie w Chinach są dla handlarzy narkotyków bazą operacyjną, a czasami ostoją, jeśli nie świętością, znalazł ostatnio potwierdzenie. Policja koncesji cudzoziemskich w Szanghaju wykryła pewną liczbę fabryk nielegalnych, wyrabiających morfinę, heroinę i pigułki heroinowe.

W samych Chinach wojska rządowe zlustrowały obszary różnych prowincji w poszukiwaniu nielegalnych fabryk.

Między władzami cudzoziemskiemi i chińskiemi istnieje możliwie ścisłe współdziałanie i, o ile współpraca na tym terenie nie osłabnie, marszałek Chain Kai-Shek będzie mógł zrealizować swój sześcioletni program pomimo wszystkich napotykanych poważnych trudności.

Podała *Marja Sokalówna.*

Anti-Opium Information Bureau
w Genewie z dnia 20 maja 1935 r.
Komunikat Nr. 23.

NIEMIECKI ZJAZD PRZECIWALKOHOLOWY.

W dniach od 6-go do 9-go października r. b. obradował w Kilonji w gmachu Uniwersytetu Niemiecki Kongres Przeciwalkoholowy — będący Zjazdem delegatów Niemieckiego Związku Przeciwalkoholowego.

Zjazd był imponujący, gdyż przybyło nań około 1.000 delegatów z całej Rzeszy, w tem około 300 kobiet — delegatek kobiecych Kół Związku. (Na czele działu kobiecego stoi p. Gertruda Kaetzel).

Liczby te świadczą wymownie o wielkim rozwoju ruchu przeciwalkoholowego w Niemczech.

Zgodnie z żądaniem rządu niemieckiego — istnieje obecnie w Niemczech jeden Związek Przeciwalkohowy, obejmujący wszystkie niemieckie organizacje przeciwalkoholowe. Związek ten cieszy się wielkim autorytetem w społeczeństwie, uznaniem władz i kanclerza Hitlera, który osobiście jest bezwzględnym abstynentem.

Praca Związku przedstawia się wprost znakomicie.

Dając obecnie tę krótką wiadomość o Kongresie w Kilonji — zaznaczam, że było tam dwoje gości z zagranicy — mister Bauer z Anglji i podpisana z Polski. P. Bauer wypowiedział następującą znamienną uwagę: „Na Kongresie tym zobaczyłem wiele rzeczy nowych, których my, Anglicy, nie posiadamy, więc uczę się".

Niemcy interesują się bardzo sprawą XXI Międzynarodowego Kongresu Przeciwalkoholowego w r. 1937 w Warszawie, wiele osób prosiło o informacje o polskim ruchu przeciwalkoholowym. *)

Leokadja Bystrzejewska.

ZJAZD W MONTREUX 1-4.IX.1935.

Podczas XX Międzynarodowego Kongresu Przeciwalkoholowego w Londynie w sierpniu 1934 r. uchwalono na specjalnem posiedzeniu Międzynarodowej Rady Przeciwalkoholowej przekształcić ją na „Światowy Związek Przeciwalkoholowy", zlecając wykonanie tej uchwały Międzynarodowemu Biuru do walki z alkoholizmem w Lozannie, na którego czele od szeregu lat stoi jako jego Dyrektor p. Dr. Robert Hercod.

W związku z powyższem Biuro to zorganizowało w Montreux (w Szwajcarji) Zjazd delegatów państw, światowych organizacyj przeciwalkoholowych i narodowych. Zjazd miał za zadanie omówienie zasad organizacji, oraz ukonstytuowanie się Światowego Związku Przeciwalkoholowego (l'Union antialcoolique mondiale — der Weltbund gegen den Alkoholismus — the International Temperance Union).

W Zjeździe wzięły udział następujące delegacje:

Z Anglji 7 osób (wiel. A. F. Barker, sekr. Western Temperance League, pani Barker, przewodnicząca Narodowej Brytyjskiej Organizacji Kobiet Abstynentek, wiel. H. Carter, gen. sekr. Methodist Temperance and Social Welfare Committee, wiel. Hassal Hammer, sekr. Scottish Temperance Alliance, p. Chas Nye, sekr. Temperance Council of the

---

*) Pani Bystrzejewska ma wygłosić na jednej z najbliższych „Dekad" w Tow. „Trzeźwość" odczyt „O niemieckim ruchu przeciwalkoholowym i Zjeździe w Kilonji", który następnie podamy w „Trzeźwości". *(Przyp. Red.)*.

Christian Churches, Dr. C. Weeks, Dyrektor National Temperance League i p. A. Slack, sekr. hon. Związku Chrześc. Kobiet Abstynentek. Z Austrji 2 (prymarjusz Dr. Gabriel, Dyrektor oddziału dla alkoholików w szpitalu am Steinhof w Wiedniu i prof. Dr. Reichel, prof. higjeny w Uniw. w Grazu). — Z Belgji 2 (prof. Dr. Zunz, pr. farmakologji w Uniwers. w Brukseli i prof. Dr. Ley, prof. prychjatrji — tamże) — z Danji red. Larsen-Ladet (jako przedstawiciel Międzynar. Zak. Dobr. Templarjuszy „I. O. G. T.“) — z Finlandji p. Salmensaari, szef sekcji antyalkoholowej w Minist. Spraw Społecznych, — z Francji 2: (Dr. P. Dauphin, sekretarz Związku Lekarzy abstynentów we Francji i Dr. H. Gachot, prof. w Szkole narodowej technicznej w Strasburgu) — z Holandji 3 (Minister Ruys de Beerenbrouck, Przewodniczący Senatu, p. Arriëns, nauczycielka i p. P. Van der Meulen, prezes honor. holendersk. Związku Przeciwalkoholowego), — z Niemiec 7 (p. Feuerstein, kierownik państwowego urzędu do zwalczania trucizn odurzających, prof. Dr. Gonser, Dyrektor Niemieckiego Związku Przeciwalkoholowego, ks. H. Czeloth, Dyrektor Hoheneckzentrale, Dr. T. Gläss, kierownik niemieckiego Zakonu Dobr. Templ., Dr. H. Schmidt, prof. teologji Un. w Halle, prof. Dr. Strecker i p. A. Fischer, przewodnicząca niemieckiego Związku Kobiet Kultury Bezalkoholowej), — z Norwegji: p. R. Jacobsen, z Polski: red. J. Szymański, referent do spr. walki z alkoholizmem w Min. O. S., — ze Szwajacrji 3: (ks. kanonik prof. Hermann, ks. pastor Lüthi, przewodniczący Związku Gwiazdy Błękitnej, Dr. M. Oettli, Dyrektor Szwajcarskiej Centrali do walki z alkoholizmem i Dr. E. Blocher, sędzia Szwajcarsk. Sądu Związkowego), — ze Szwecji 4 (prof. Dr. J. Bergman, senator, Dr. England, O. Franzen, N. Netz) i ze Stanów Zjednoczonych A. P. p. J. A. Crain.

Kilku delegatów, którzy zapowiedzieli swój przyjazd — przybyć nie mogło; m. in. nie przyjechali: Dr. Nejczew z Bułgarji i Dr. Popowicz z Jugosławji.

Obrady dotyczyły spraw organizacyjnych Związku, finansowych, programu działalności i najbliższego XXI Międzynarodowego Kongresu Przeciwalkoholowego w Warszawie w r. 1937.

Na wniosek p. Dyrektora Hercod‘a na przewodniczącego Zjazdu powołano p. Ministra Ryus de Beerenbroucka z Holandji *) i na sekretarza p. prof. Gachot‘a, z Francji.

Ze spraw organizacyjnych należy zaznaczyć, że Światowy Związek Przeciwalkoholowy obecnie dzielić się będzie na 2 sekcje: europejską i brytyjską (z kolonjami i dominjami) — przygotowuje się organizacja Sekcji amerykańskiej, możliwe jest utworzenie Sekcji południowej i środkowej Afryki. Z Azji należą do Związku: Japońska Narodowa Liga Przeciwalkoholowa i Turcja, z Afryki należy Egipt.

---

*) Urodzony w 1873 r. Studja prawnicze w Lejdzie. Senator i gubernator prowincji Limburg. Od 1918 do 1925 Prezes Rady Ministrów, następnie Prezes Senatu, ponownie był znowu w przeciągu 2 lat Prezesem R. M. i dalej Prezesem Senatu. Od wielu lat działacz przeciwalkoholowy; w r. 1899 założył Katolicką holenderską Organizację Przeciwalkoholową „Sobrietas“. Jest też od szeregu lat przewodniczącym Międzynarodowego Katolickiego Związku Przeciwalkoholowego. Brał udział w szeregu Międzynarodowych Kongresów Przeciwalkoholowych.



Zjazd w Montreux 1—4.IX. 35.

Wybory do Zarządu Światowego Związku Przeciwalkoholowego dały wynik następujący: Prezes: min. Ruys de Beerenbrouck, zastępca Dr. Weeks (Londyn) — drugim zastępcą będzie kooptowany przedstawiciel Stanów Zj. A. P.. Członkowie: pani Boole (New York), wiel. Carter (Londyn) jako przedstawiciel awengielickiego ruchu przeciwalkoholowego, prof. Gonser — Berlin — przedstawiciel „umiarkowanych“, ks. kanonik Hermann, przedstawiciel ruchu katolickiego, p. lektor Olsson (Stockholm), ruch neutralny.

Do Zarządu Sekcji Europejskiej powołani zostali: Minister Ruys de Beerenbrouck — przewodniczący, prof. Dr. Gonser (Berlin) i prof. Dr. Gachot (Strasbourg) — wiceprzewodniczący, prof. Dr. Bergman, Senator (Stockholm) i red. Jan Szymański, jako członkowie.

Powołano do życia szereg Wydziałów, mających zajmować się poszczególnymi działami pracy i propagandy przeciwalkoholowej na terenie międzynarodowym, a mianowicie: finansowy, wychowawczy (przew. Dr. Oettli — Lozanna), bezalkoholowego przetwórstwa owoców (prof. Dr. Gonser—Berlin), badań naukowych (przew. w dziale nauk przyrodniczych prof. Dr. Zunz — Bruksela i prof. Dr. Schmidt — Halle — psychologji i moralności), statystyczny — Th. Gläss (Berlin), kolonjalny, stosunku do kościołów protestanckich — minister Slotemaker de Bruine (Haga), stosunku do krajów mahometańskich — Dr. Galwasz (Kair), wydział do spraw hoteli i restauracyj bezalkoholowych (pani Fischer z Bremy), propagandy — rew. Barker, leczenia i opieki nad alkoholikami — Dr. Gabriel z Wiednia, stosunków z Międzynarodowym Biurem Pracy przy Lidze Narodów w Genewie — b. minister Voionmaa (Finlandja), wreszcie wydział zagadnień ruchu.

Z samego tylko wyliczenia tych wydziałów widzimy, jak szerokie i interesujące zakresy działalności obejmuje Związek.

Do Zarządu Związku jako przedstawiciele sekcji europejskiej z poszczególnych krajów powołani zostali: z Niemiec prof. Gonser i prof. Schmidt, z Francji prof. Gachot, ze Szwecji Dr. Englund i p. Netz, z Holandji Min. Ruys de Beerenbrouck, z Norwegji p. Jacobsen, z Polski red. Szymański, ze Szwajcarji ks. Hermann, z Belgji prof. Zunz, z Finlandji Min. Voionmaa, z Austrji prof. Reichel.

Podczas Zjazdu wygłoszono kilka referatów: *Dr. R. Hercod* omawiał sprawy organizacyjne Światowego Związku Przeciwalkoholowego oraz stan obecny spraw Związku. Red. *J. Szymański* mówił o organizacji Międzynarodowego Kongresu Przeciwalkoholowego w Warszawie w r. 1937, ks. Dyrektor *Czeloth (Berlin)* o propagandzie przeciwalkoholowej i walce z kapitałem alkoholowym, Dr. *Weeks* (Londyn) wygłosił referat o konieczności założenia Międzynarodowego Związku Młodzieży Abstynenckiej.

Poza programem urzędowym odbyło się w hotelu Helwecja (ściśle abstynenckim) zebranie przedstawicieli miejscowych organizacyj przeciwalkoholowych z udziałem uczestników Zjazdu — na tem niezmiernie sympatycznem zebraniu wygłosili dłuższe przemówienia pp.: Dyr. Hercod, Min. Ruys de Beerenbrouck, Senator Bergman, Dr. Dauphin *), prof. Gonser, Dr. Weeks i Dr. Gachot.

---

*) p. t. „*Alkoholizm i sport*“ — podajemy je wyżej.

Prace Zjazdu były nader intensywne. Zainteresowanie przebiegiem obrad uczestników bardzo duże.

Należy zaznaczyć, że największy wpływ wywierały delegacje: niemiecka, angielska i szwedzka. Język niemiecki panował prawie niepodzielnie.

Generalnym Sekretarzem Związku wybrany został Dyrektor Międzynarodowego Biura do walki z alkoholizmem w Lozannie p. Dr. Robert Hercod. Zjazd urządził mu gorącą owację, jako temu, w którego rękach skupiają się od szeregu lat wszystkie najważniejsze czynności międzynarodowego ruchu przeciwalkoholowego; Dr. Hercod jest duszą tego ruchu, najwytrwalszym organizatorem i najpracowitszą sprężyną.

Wdyskusji nad referatem o Międzynarodowym Kongresie Przeciwalkoholowym w Warszawie w r. 1937 ks. Dyrektor Czeloth, a później p. prof. Gonser podnieśli myśl, aby Kongres ten odbył się pod hasłem: „dla zdrowej i pełnej sił młodzieży".

Podczas obrad nad sprawami finansowemi Związku — delegat rządu niemieckiego p. Feuerstein zaznaczył, że dotacja rządu niemieckiego na rzecz Związku podniesiona zostanie o 50 proc., zaś prof. Gonser w innem miejscu oświadczył, że rząd niemiecki przygotował projekt daleko idącej ustawy przeciwalkoholowej — (dodać tu należy, że niemieckie organizacje przeciwalkoholowe liczą obecnie przeszło 300.000 członków).

Przed zakończeniem obrad, dokonano wyboru szeregu zasłużonych działaczy przeciwalkoholowych na członków honorowych Związku. Wybrani zostali m. in.: Prezydent Rzeczypospolitej Czesko-Słowackiej, prof. *Masaryk*, b. Prezydent Republiki Austrjackiej Dr. *Hainisch*, Dr. *Legrain* (Paryż), prof. *Westergaard* (Kopenhaga), Minister *Henderson* Książę Następca tronu *Gustaw Adolf* (Stockholm), ks. pastor *Junod* (Szwajcarja).

Obrady Zjazdu w mistrzowski sposób prowadził p. Minister Ruys de Beerenbrouck.

———o———

PRZEGLĄD ZAGRANICZNY.

Alkoholizm i zbrodnia.

W piśmie „Les annales antialcooliques", redagowanem przez dr. Legrain'a, za miesiąc maj—czerwiec 1935 r., znajduje się wstrząsający opis zbrodni, dokonanej przez 15-letniego chłopca, z zamożnej, inteligentnej rodziny, odznaczającego się wzorowem, moralnem postępowaniem i dobrą nauką. Przyjechał do rodziców na święta Wielkanocne i, czując pragnienie, zamiast wody, wypił wina, przygotowanego na przyjęcie gości. Chłopiec nigdy przedtem alkoholu nie używał — pierwsze wypicie wina wywołało stan zupełnego odurzenia. Ledwo się dowlókł do pokoju ojca i tam spowodu fatalnego zbiegu okoliczności, zobaczył stary rewolwer ojca — wziął go i wyszedł. Spotkał służącą, i po zamienieniu z nią kilku słów, strzelił do niej, zabijając na miejscu matkę dwojga dzieci. Rzeczywiście dramat niezwykły, lecz dr. Legrain powiada, że, jako ekspert sądowy stale ma do czynienia z takiemi niezwykłemi tragedjami, z których każda jest inna z racji okoliczności, w jakich

zachodzi, ale wszystkie w taki, czy inny sposób zostały spowodowane przez alkohol. Dr. Legrain twierdzi, że sąd, rozpatrując tego rodzaju przestępstwa, powinien nie tylko wydawać wyroki na tych, którzy je popełniają, lecz jednocześnie wykazywać źródło, z którego nieszczęśliwe jednostki czerpią pożywkę dla swych instynktów zbrodniczych, które bez podniety alkoholowej mogłyby się nigdy nie ujawnić.

„L'Humanité" opisuje wypadek potwornego morderstwa, podkreślając, że dokonano go po pijanemu. W małem miasteczku nad Marną były wojskowy podciął nożem kuchennym gardło swej żony, następnie dał trzy strzały rewolwerowe do osób, znajdujących się pod oknem, poczem rozraniwszy brzytwą gardło, popełnił samobójstwo, wpakowując sobie w serce kulę. Wypadek ten wstrząsnął całem miasteczkiem i wykazał namacalnie ludności, komentującej obszernie zajście, czem jest alkoholizm. Taka poglądowa lekcja pozostanie na długo w pamięci ludzi i zaostrzy ich krytycyzm w stosunku do tak nieodłącznego ich towarzysza, jakim jest we Francji wino.

Statystyka przestępstw na tle alkoholizmu w Anglji, podana w biuletynie prasowym biura do walki z alkoholizmem w Lozannie, wykazuje znowuż ich wzrost.

Lata	*77 hrabstw*	*Hrabstwo Londyńskie*	*Razem*
1931	17,712	16,999	34,711
1932	13,778	12,317	26,095
1933	16,303	14,709	31,012
1934	17,919	15,342	33,261

Wypadki nieszczęśliwe, a alkoholizm.

Jest to zagadnienie, na które zagranicą zwrócono baczną uwagę. Nie tylko pisma poświęcone walce z alkoholizmem, ale i prasa codzienna w opisach wypadków nieszczęśliwych dołączać zaczyna parę słów: „alkohol ponosi winę", lub „stwierdzono stan upojenia u sprawcy wypadku" — nic więcej — ale, zdaniem naszem, to już jest dużo, bo taka wzmianka każe czytelnikowi zastanowić się; a raz drugi, trzeci powtórzona w innych okolicznościach, wywołać może coraz poważniejszą reakcję, i po pewnym czasie krytyczny stosunek do alkoholu zacznie się wytwarzać w społeczeństwie poniekąd samorzutnie.

Przykład walki z pijaństwem na terenie ruchu daje nam Szwajcarja, a mianowicie departament policji w Kantonie St. Gall, przerażony wzrastającą coraz gwałtowniej liczbą wypadków nieszczęśliwych, wywołanych alkoholizmem szoferów, wydał odezwę treści następującej: (Podaję według Biuletynu prasowego w Lozannie).

Do wszystkich szoferów.

1) Ciężka odpowiedzialność motorniczych za życie publiczności czyni koniecznem wprowadzenie zakazu używania napojów alkoholowych przed jazdą i podczas jazdy.

2) Błędnem jest mniemanie, jakoby małe dawki nie były szkodliwe. Pobudzają one nastrój ryzyka, zagłuszają poczucie odpowiedzialności,

wywołują przedwczesne zmęczenie, osłabiają uwagę i spostrzegawczość, pomniejszają szybkość orjentacji.

3) Ogromna liczba wypadków automobilowych jest właśnie wywołana użyciem małych doz alkoholu.

4) Spożycie większych dawek alkoholu doprowadza w rezultacie do opilstwa kompletnego, znajdującego ujście w ekscesach.

5) Motorowy, znajdujący się pod wpływem działania alkoholu, nie może pod żadnym pozorem prowadzić maszyny.

6) Najtragiczniejsze wypadki automobilowe wydarzają się podczas przemytu alkoholu, gdyż szofer najczęściej sam go używa.

7) Każdy motorowy, który się nie wyrzeka alkoholu, naraża życie nie tylko swoje i swojej rodziny, ale i ludzi korzystających z jego usług.

8) Prawo jazdy zostanie odebrane każdemu, kto będzie prowadzić maszynę w stanie alkoholowego podniecenia.

Rząd Szwedzki, a walka z alkoholizmem. Stosunek przyjazny Rządu szwedzkiego do idei walki z alkoholizmem wyraża się przedewszystkiem w budżecie państwa. Na rok 1935/36 suma ta w budżecie wynosi 301.200 kor. (406.620 zł.) na cele propagandy wychowawczej. Mieści ona między innemi pozycję 115.000 kor. wyłącznie na organizowanie odczytów propagandowych, oraz pozycję 18.000 kor. na związek automobilistów abstynentów. Lecznictwo i walka z nielegalnym przywozem napojów alkoholowych w budżecie tym stanowią osobną, wydatną pozycję 975.000 kor.

Liczba członków Dobrych Templarjuszy w 1934/35 wzrosła znacznie w Szwecji i wynosi 125.137 na liczbę przeszło 6 miljonów mieszkańców.

Opcja lokalna w Szwecji. Małe miasteczko St. Monance przeprowadziło u siebie głosowanie, czy zakaz sprzedaży alkoholu z 1920 r. ma zostać zniesiony, czy też powinien trwać nadal. Za utrzymaniem zakazu padło 362 głosy, za zniesieniem 209. Większością 153 głosów utrzymany został zakaz sprzedaży.

Narodowa Rada Przeciwalkoholowa w Norwegji,

została zainicjowana przez Min. Opieki Społecznej. Rada ta ma na celu zogniskowanie działalności przeciwalkoholowej na polu legislatywnem, administracyjnem, wychowawczem i leczniczem.

Ruch przeciwalkoholowy w Belgji,

zawdzięczając niestrudzonemu i wielce zasłużonemu księdzu, prof. Dusautoir, rozwija się wspaniale, łącząc katolickie sfery przeciwalkoholowe Flandrji zachodniej w towarzystwie „Sobriëtas". Ogromny wzrost budżetu tej organizacji na walkę z alkoholizmem świadczy o tem wymownie:

1928	rok	3.846	fr. bel.	1932	rok	50.810	fr. bel.
1929	„	16.354	„	1933	„	60.252	„
1930	„	35.271	„	1934	około	80.000	„
1931	„	44.126	„				

Towarzystwo to pozostaje w ścisłym kontakcie ze szkołami katolickiemi i w 1934 r. rozdało wśród młodzieży 23.000 egzemplarzy wydawnictw przeciwalkoholowych — nawiązało bliskie stosunki z duchowieństwem prowincjonalnem, pragnąc mieć w niem szereg wyspecjalizowanych działaczy przeciwalkoholowych.

W z r o s t s p o ż y c i a a l k o h o l u w A n g l j i w miarę powiększania się dobrobytu wykazuje ciekawa statystyka G. B. Wilson'a:

	1932	*1933*	*1934*
Piwa	19.194.000 beczek	20.213.000 beczek	21.647.000 beczek
Wina	12.264.000 galon.	12.902.000 galon.	13.961.000 galon.
Wina ow.	3.160.000 „	3.758.000 „	4.000.000 „
Nap. Dys.	9.600.000 „	9.779.000 „	9.572.000 „

W z r o s t w y p a d k ó w s a m o c h o d o w y c h w e F r a n c j i, wywołanych alkoholizmem, jest ogromny. Oto liczby:

1924 rok — 1.626 wypadków
1931 „ — 4.145 „ , czyli o 154% więcej (Biul. Pr. Loz.)

P o g l ą d y D r. H e n r y k a B o u q u e t'a na alkoholizm i sposoby walki z nim podał w feljetonie swym wielki dziennik paryski „Le Temps". Dr. Bouquet zastanawiając się nad przyczynami konwulsji i epilepsji u dzieci, stwierdza, że potomkowie alkoholików i syfilityków są obarczeni większą podatnością do objawów wzmożonej nerwowości. Stwierdza również, że walka z alkoholizmem, nie dając wprawdzie jaskrawych rezultatów, przyczynia się powoli, ale skutecznie do uzdrowienia nowego pokolenia. Już sam fakt zabraniania podawania małym dzieciom alkoholu, przynajmniej nie nasila obarczenia dziedzicznego alkoholowego, które przynosimy ze sobą na świat. Wypadki wyleczonych z alkoholizmu ojców rodzin są bardzo wymownym momentem wychowawczym dla dzieci. Higjena dziecka, według opinji dra Bouquet'a winna mieścić również nakaz wykluczenia z jego djetetyki wszelakich napojów alkoholowych.

D z i a ł a n i e m a ł y c h d a w e k a l k o h o l u na psychiczną sprawność szoferów badał H. Heise i podał wyniki w artykule „Alkohol i wypadki automobilowe". Czyniąc doświadczenia z pisaniem na maszynie, stwierdził, że już po wypiciu 30 gramów whisky można było zauważyć wpływ ujemny alkoholu — po wypiciu badany pisał prędzej, lecz popełniał więcej błędów. Doza ta daje 0,02 na 100 alkoholu w moczu.

Druga serja eksperymentów dotyczyła szoferów, którzy wypili 150 gr. whisky. Polecono kierować im maszynę i zaobserwowano upośledzenie szybkości reakcji i wadliwe manewrowanie maszyną. Ta doza spożytego alkoholu daje 0,10 na 100 alkoholu w moczu, H. Heise badał mocz szoferów, którzy spowodowali wypadki samochodowe, znajdował w nim większy odsetek alkoholu od wyżej podanego i twierdzi, że przyczyną ogromnej większości wypadków automobilowych jest alkohol. (Les Annales Antialcooliques, 1935 r.).

„Alkohol i sądy dla nieletnich".

Pod tym tytułem „Les Annales Antialcooliques" umieściły ciekawy artykuł pani Friedy Feichtinger. Pisze ona, że Austrja posiada w dużych miastach instytucję „Sądów dla nieletnich", mającą za zadanie otoczenie opieką wychowawczą, indywidualnie stosowaną, nieletnich przestępców; przy tejże instytucji istnieje również pomocnicza organizacja „Patronatów Sądowych" dla młodzieży, mająca na celu badanie warunków domowych, w jakich dane jednostki się znajdują, aby móc o nich szczegółowo poinformować sędziów, mających wydać wyrok w sprawie podsądnego. „Sądy dla nieletnich" mają również za zadanie badanie czynów, krzywdzących młodzież fizycznie, lub moralnie, a popełnionych przez dorosłych. Wyniki badań przeprowadzonych nad środowiskiem domowem młodzieży i dzieci wykazują zgubny wpływ alkoholu. Sprawozdania służby bezpieczeństwa dowodzą, że wśród młodych przestępców tylko zaledwie trzecia część pochodziła z rodzin normalnych; większość dzieci przestępczych rekrutuje się z rodzin rozwiedzionych, lub są to sieroty zupełne, albo dzieci nieprawe. Niewątpliwie już u kołyski tej nieszczęśliwej, wykolejonej, bezdomnej dziatwy alkohol odegrał swą niszczycielską rolę, w takiej, czy innej postaci. Statystyki spraw nieletnich przestępców ujawniają również, że przestępstwa bywały nieraz popełniane pod wpływem pośrednim, lub bezpośrednim alkoholu. Często samo środowisko zalkoholizowane, z którego dziecko pochodzi, jest przyczyną jego upadku moralnego. Nierzadko także dzieci z rodzin bezrobotnych bywają demoralizowane przez ojców, którzy je wysyłają żebrać na „wódkę" dla siebie. Tem się tłumaczy fakt, że rodzina znajduje się w skrajnej nędzy, a ojciec bezrobotny upija się i deprawuje dzieci. Wypadki nierządu wśród małoletnich dziewczynek są często wynikiem alkoholizmu rodziców. Udawadniają to wywiady przeprowadzane po domach. Oto jeden z takich tragicznych obrazków: ojciec bezrobotny całą swą zapomogę przepija wraz z żoną, z którą razem przesiaduje w szynku. Córeczka, powróciwszy ze szkoły, zastaje izbę pustą i chłodną — idzie głodna na ulicę, wałęsa się i prędzej, czy później, pada ofiarą kogoś, kto za talerz zupy, za kąt ciepły gwałci i toruje drogę dalszej poniewierce.

2-go sierpnia 1922 r. został wprowadzony w Austrji przepis, zabraniający podawania napojów alkoholowych dzieciom poniżej lat 16-tu.

Kongres Lekarzy Przyjaciół wina w Lozannie.

We wrześniowym numerze „Trzeźwości" podałam już o tym Kongresie krótkie, zasadnicze wiadomości. Teraz zaś, przeczytawszy sprawozdanie z niego w „L'Abstinence" Nr. 17 przez pana dyrektora Hercod'a, pisane z wielką werwą, a miejscami z pełną finezji ironją, pragnę naszym czytelnikom dorzucić garść szczegółów, wyjaśniających pewne rzeczy.

A więc p. dyr. Hercod odpowiada prof. d-rowi Baglioni'emu z Rzymu, który podnosił działalność leczniczą niektórych win francuskich w wypadkach reumatyzmu, podagry, choroby cukrowej, że walka z alkoholizmem ma na celu niedopuszczenie chorób do ludzi zdrowych, którym to niewątpliwie wino szkodzi, biedni zaś chorzy muszą być specjalnie traktowani i to stanowi już zgoła odmienne zagadnienie.

P. Dyr. Hercod podkreśla niesłychanie ciekawy fakt, że, przemawiając gorąco za nieograniczonem piciem wina francuskiego, obdarzonego cudownemi właściwościami, orzeźwiającemi nie tylko organizm nadwątlony, czy starczy, ale i wyzwalającego wyższe duchowe wartości, —lekarze ci twierdzili uparcie, że są gorącymi zwolennikami walki z alkoholizmem, której właśnie konsumcja wina może pomóc niesłychanie, gdyż odciągnie ludzi od używania innych napojów alkoholowych. że jednak tak nie jest, to mamy przykład na Francji, gdzie spożycie wina dosięga przerażającej cyfry 150 l. na głowę w ciągu roku, przy jednoczesnej większej konsumcji różnych napojów alkoholowych, niż w innych krajach.

P. Dyr. Hercod wyjaśnia nam, że przed Kongresem posłano dyrektorowi Międzynarodowego Biura przyjaciół wina panu Douarche pracę prof. Amaldiego, dyrektora zakładu dla umysłowo chorych we Florencji, który w niej stwierdza, że prawie wszystkie psychozy alkoholowe (we Włoszech) są wywoływane przez użycie wina, i że ich liczba zmniejsza się, lub zwiększa, zależnie od zwiększenia, lub zmniejszenia spożycia wina. P. Douanche odpowiedział, że statystyka ta będzie obalona przez wykazanie błędów w jej przeprowadzaniu. Spodziewano się, że właśnie na Kongresie tym ujawnione zostaną owe błędy, tymczasem pominięto tą pracę zupełnem milczeniem. Milczenie to, jest oczywiście zamaskowanem przyznaniem się do braku argumentów przeciwko pracy, wykazującej w całej pełni właśnie szkodliwość wina.

P. Dyr. Hercod, jak już wyżej powiedziałam, dał druzgocącą krytykę całej działalności Tow. Lekarzy badających naukowo właściwości winogron i wina — wykazał, że owe słowa „naukowo badających" są poprostu „mydlaniem oczu" publiczności, nie orjentującej się dokładnie w zagadnieniu i, że członkom tego szanownego zgromadzenia chodzi o propagandę wina francuskiego w jaknajszerszych rozmiarach. Jeśli tak już im na niej zależy, to niech ją prowadzą u siebie w kraju—p. dyr. Hercod'owi zależy bardzo, by Szwajcarję ustrzec przed niebezpieczeństwem rozpowszechnienia zgubnego poglądu, że można zwalczyć alkoholizm piciem wina.

Wieś szwajcarska Oulens — ośrodkiem walki z alkoholizmem.

Przeglądając liczne wiadomości o ruchu abstynenckim szwajcarskim, podawane w każdym numerze „L'Abstinence" z rozmaitych stron tego kraju, przykro mi, że nie możemy w „Trzeźwości" wprowadzić działu: „wieści z prowincji". Zwłaszcza poruszyło mię bardzo sprawozdanie ze wsi Oulens, w której ruch przeciwalkoholowy wspaniale się rozwija, „dzierżąc wysoko sztandar podstawowej reformy społecznej, jaką jest zupełne usunięcie z życia napojów alkoholowych". Jeśli mamy w Polsce do tego stopnia uświadomione wsie, to czemuż nie odezwą się do nas? Czemu nie dadzą znaku życia?

Ameryka, a walka z alkoholizmem.

Upadek prohibicji amerykańskiej, bynajmniej, jak to mniemano, powszechnie, nie okazał się jednoczesną ruiną ruchu przeciwalkoholowego — przeciwnie, raczej jest on początkiem jego odrodzenia, dokonywu-

jącego się pod wpływem głębokiego, a niespodziewanego wstrząsu. Zrozumiano, że trwałe uregulowanie zagadnienia tak skomplikowanego, tak nawskroś obyczajowego, jakim jest zagadnienie picia, czy nie picia, środkiem policyjnego zakazu, jest rzeczą nie tylko niemożliwą, lecz częstokroć dającą nawet cały szereg ujemnych konsekwencji i wytwarzającą atmsoferę niezdrowego, zbrodniczego przemytu. Z drugiej zaś strony powrót do życia tak zw. saloonów w większości miast amerykańskich, a wraz z nimi i wszystkich ujemnych stron przez nich wywoływanych, dobitnie i namacalnie poucza ludność o grozie alkoholizmu, wykazując, że należy jakimiś innymi środkami, ale jaknajenergiczniej walczyć z tą klęską.

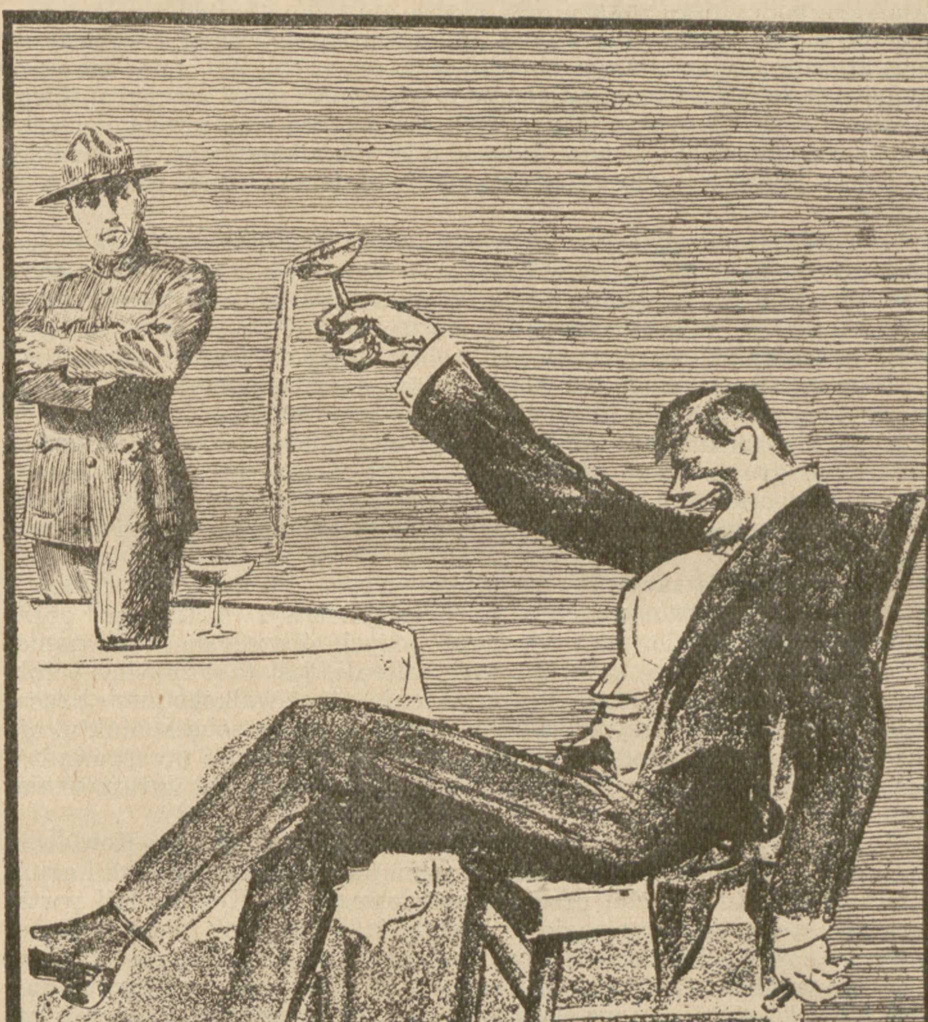
Kobiety amerykańskie, zrzeszone w Związku Chrześcijańskim kobiet abstynentek, obradując w Claveland (stan Ohio), nakreśliły pięcioletni program pracy, mającej na celu uczczenie stuletniej rocznicy urodzin Franciszki Villard, przypadającej na 1939 r. Praca ta ma iść głównie w kierunku wychowawczym, obejmującym zespół czynników, kształtujących charakter człowieka w jego najszlachetniejszych przejawach. Program walki z alkoholizmem zawiera akcję uświadamiającą o grozie alkoholizmu na wszystkich jego odcinkach, a dopiero na podłożu takiego gruntownego uświadomienia poleca przystąpienie do propagandy za opcją lokolną. Program wychowawczo-moralny opiera się na zasadach wysokiego humanitaryzmu, szerzącego ideję pokoju i nauczania świeckiego.

Konsolidacja ruchu przeciwalkoholowego. Po upadku prohibicji w Stanach Zjednoczonych ruch przeciwalkoholowy, dokonując obrachunku strat poniesionych i win popełnionych, doszedł do przekonania, że poważnym brakiem, który mści się boleśnie, jest fakt zupełnego rozproszenia organizacyjnego. Stowarzyszenia przeciwalkoholowe pracowały osobno, nie podtrzymywały koniecznego między sobą kontaktu, nie było między niemi współpracy. Zrozumiano konieczność przeprowadzenia zmiany, nawiązania kontaktu między poszczególnemi ugrupowaniami.

Kościoły protestanckie wystąpiły z inicjatywą zwołania Konferencji, mającej za zadanie wyświetlenie jaknajbardziej szczegółowe i gruntowne całokształtu ruchu przeciwalkoholowego. Na Konferencji postanowiono stworzyć organizację centralną, jakiś Związek przeciwalkoholowy Stanów Zjednoczonych, oraz postanowiono zwrócić się do Ligi przeciw szynkom (Anti-Saloon-League), w której są reprezentowane wszystkie kościoły, aby wzięła w swe ręce organizowanie Federacji całego ruchu przeciwalkoholowego. Liga przeciw szynkom na posiedzeniu w Waszyngtonie uchwaliła przyjąć propozycję Konferencji, ujawniła nawet zgodę na zmianę nazwy dotychczasowej swego stowarzyszenia, aby ułatwić proces konsolidacji. Jeśli uda się przeprowadzić scalenie ruchu przeciwalkoholowego w taką jedną centralę, to Stany Zjednoczone będą miały naczelną organizację, łączącą przedstawicieli wszystkich towarzystw przeciwalkoholowych, oraz kościołów. W tych przedwstępnych naradach tylko kościół katolicki nie był reprezentowany, a szkoda, bo byłoby dobrze, by katolicy-abstynenci mogli pracować łącznie z abstynentami innych wyznań.

Komitet przeciwalkoholowy Kościoła metodystycznego przeprowa-

Amerykańskie plakaty propagandowe.



Toast: „niech żyje Ojczyzna!"

dział ankietę w sprawie aresztowań za pijaństwo w okresie od 5-go grudnia 1933 r. do 5-go grudnia 1934 r. Ankieta wykazała wzrost o 26,17% ; a o 244,90%, jeśli porównamy z 1920 r., w którym prohibicja została wprowadzona.

Jedno z miast amerykańskich, przerażone wzmożoną liczbą wypadków automobilowych, powodowanych pijaństwem szoferów, wpadło na oryginalny pomysł urządzenia pochodu przez ulice: orkiestra grająca

Amerykańskie plakaty propagandowe.



Szynk zagraża dziecku.

marsz postępowała na czele, za nią jechało kilka aut, a obok każdego szofera wysoko wznosiła się wielkich rozmiarów butla alkoholu.

Ciekawem jest fakt, że spowodu pierwszej rocznicy obalenia prohibicji w Stanach Zjednoczonych w wielu pismach amerykańskich pojawiły się artykuły bilansujące pozycje ujemne i dodatnie tego faktu. Podkreślają one, że dochody z napojów alkoholowych, które obliczano na

500 do 600 miljonów dolarów, wyniosły zaledwie około 400 miljonów dolarów, głównie z racji przemytu, który wcale nie ustał. Skarżą się również na wzrost wypadków automobilowych, wywoływanych pijaństwem szoferów. Niektóre zaś pisma są niewątpliwie szczerze ucieszone zniesieniem prohibicji, gdyż według obliczeń Johnson'a z New Jork Times, wzrosła szalenie liczba ogłoszeń o napojach alkoholowych. I tak np., gdy ogłoszenia o napojach alkoholowych zajęły 675 cali, czyli 17 metrów 14 centymetrów, to przemysłu ubraniowego tylko 467 cali — automobilowego 219 cali. Ogłoszenia o szkołach 3 cale, a o księgarniach 14 cali.

(Biul. pr. Loz.).

Przychodnie przeciwalkoholowe — cele i zadania.

Ostatni numer „L'abstinence" (19), jest w znacznej mierze poświęcony przychodniom przeciwalkoholowym. Dyrektor kliniki Bellevue w Landeron, dr. H. Bersot, we wstępnym artykule zastanawia się nad zadaniami i działalnością przychodni dla alkoholików, oraz nad ich stanem w Szwajcarji.

Przedewszystkiem stwierdza sytuację tak bardzo zbliżoną również i do panującej u nas, że choroba alkoholizmu nie jest w dostatecznej mierze leczona na samym początku, jak to ma miejsce z innemi chorobami, np. z gruźlicą. Alkoholik początkujący nie jest bynajmniej wydzielany ze swego dotychczasowego środowiska, w którem nabawił się choroby, a dopiero w stadjum jej groźnego nasilenia, ujawniającego się w czynach niepoczytalnych, których ofiarą pada ktoś z najbliższej rodziny, zostaje umieszczony w specjalnym zakładzie. Szwajcarja romańska nie posiada ustawodawstwa, zmuszającego do leczenia alkoholika, który jeszcze nie popełnił zbrodniczego czynu, mimo, że rujnuje życie bliskich i oddanych mu ludzi. Zagrożeni gruźlicą są otoczeni specjalną opieką lekarską i mają możność zahamowania swej choroby — ludzie pijący, którym grozi rozpicie się, nie tylko nie są specjalnie ochraniani, lecz przeciwnie, przez stałe, dalsze używanie alkoholu narażeni są na ostateczne zrujnowanie i zdrowia i całego losu.

Chcąc wyciągnąć wszystkie konsekwencje z takiego stanowiska, należałoby stwierdzić, że tak, jak człowiek mający skłonność do gruźlicy, winien stale się wystrzegać warunków złych i środowisk zarażonych, bo łatwiej ulegnie procesowi chorobowemu, tak samo człowiek, mający wrodzoną, czy też nabytą skłonność do alkoholizmu, musi unikać środowisk pijackich. I na tem polega cała trudność, że owe środowiska są wszędzie, na każdym kroku — obyczaj pijacki tak się wżarł we wszystkie komórki organizmu społecznego, że ludzie nie pijący, stają się jakimiś pożałowania godnymi dziwakami, nad którymi z politowaniem macha się ręką.

Człowiek pijący umiarkowanie w pewnej chwili życia zaczyna zdawać sobie sprawę, że stoi nad przepaścią, że grozi mu całkowita ruina, jeżeli nie zawróci z drogi, po której idzie. Lecz w takiej chwili odczuwa jednocześnie swą zupełną bezsilność, niezaradność, czuje, że sam nie zrobi nic dla swego własnego ratunku. Potrzebuje pomocy, potrzebuje wsparcia ludzi światłych i rozumnych, a doskonale wyćwiczonych w zakresie tego specjalnego rodzaju lecznictwa. Tu się zaczyna rola przychodni przeciwalkoholowej, która takim uświadomionym już o niebezpie-

czeństwie alkoholikom, a pragnącym się z niego wydobyć, winna dać wszystko, czego chory potrzebuje.

A jednocześnie przychodnia przeciwalkoholowa to instytucja, otaczająca najczulszą opieką i całą rodzinę alkoholika. Rodzaj tej opieki jest bardzo różnorodny, zależny od tego, czego mianowicie dana rodzina najwięcej potrzebuje. Ale zawsze, w każdym wypadku, istotą takiej opieki domowej będzie najdokładniejsze pouczenie całej rodziny, że jedynie *abstynencja* chorego jest jedynym środkiem wyleczenia go, a więc całe życie domowe powinno być tak zorganizowane, by chory nie miał możności zaopatrywania się w napoje alkoholowe. W ten sposób przychodnie stają się ośrodkiem propagandy przeciwalkoholowej u podstaw życia, bo w rodzinie — nie tylko leczą chorego, ale również kształcą młode pokolenie, wykazując bliższe i dalsze konsekwencje alkoholizmu, oraz wytwarzając zrozumienie i szacunek dla obyczaju abstynenckiego. Rodzina alkoholika znajduje w przychodni wypróbowanego, doświadczonego, mądrego przyjaciela i doradcę, do którego może się udawać z zupełnem zaufaniem. Chory, otoczony opieką i staraniem z jednej strony przychodni, z drugiej własnej rodziny, która jest pouczona, jak ma z nim postępować, nie czuje się bezradną, opuszczoną istotą, przeciwnie, zaczyna się odradzać, nabierać wiary we własne siły, w możliwość uwolnienia się od nałogu.

Już z tego widzimy, jaka to jest pożyteczna i niezbędna instytucja — nie na tem jednak kończy się okres pracy w przychodni; pośredniczy jeszcze ona w przeróżnych wypadkach pomiędzy pijakami a władzami, wzajemnie się wspierając przy likwidowaniu wypadków, które już dotarły do władz bezpieczeństwa publicznego, czy też do sądu. Przychodnie mogą udzielać niezmiernie cennych wiadomości o przestępcy-alkoholiku, zaczerpniętych z owych starannie prowadzonych wywiadów na miejscu, z długich obserwacji psychicznego stanu, oraz warunków materjalnych i rodzinnych danej jednostki. Tego rodzaju materjał zarówno dla policji, opieki społecznej, jak i dla władz sądowych może mieć kolosalne, nieraz rozstrzygające znaczenie.

I jeszcze to nie wszystko, co ma na celu przychodnia przeciwalkoholowa. Musi ona bowiem stać się ośrodkiem wszelkiej wiedzy przeciwalkoholowej, musi dawać usystematyzowane wiadomości praktyczne, zebrane na przeróżnych polach pracy, statystyki, wykresy. W niej się bowiem załamuje całokształt zjawiska alkoholizmu ze społecznego i lekarskiego punktu obserwowany, analizowany, zbadany i leczony, — a jednocześnie w niej powstają metody pracy, wznoszącej przyszłość abstynencką. Stąd płynie konieczność, by również i szkolnictwo zapoznało się z materjałem usystematyzowanym przez przychodnie i wyciągnęło z niego wnioski dla swoich metod wychowawczych. Jednym słowem przychodnie, to kuźnie praktycznych metod życia abstynenckiego, a jednocześnie wielkie ośrodki profilaktyki społecznej w jaknajszerszym zakresie.

Drugi artykuł, w tymże samym numerze „L'Abstinence", zajmuje się krótkim historycznym przeglądem rozwoju przychodni przeciwalkoholowych w Szwajcarji. Dowiadujemy się, że pierwszeństwo pod tym względem ma Szwajcarja niemiecka. W 1911 roku powstała w Zurychu pierwsza przychodnia przeciwalkoholowa z inicjatywy prywatnej i rychło stała się niezbędną częścią całej akcji opieki społecznej, gdyż dobro-

czynny jej wpływ okazał się oczywisty i niezaprzeczony. Subwencja od miasta, wynosząca początkowo 18.000 fr. w 1935 r., już dosięgła 40.000 franków. Przykład Zurychu znalazł naśladowców — przedewszystkiem Lucerna poszła w jego ślady, a następnie pomniejsze miasta i miasteczka zaczęły tworzyć u siebie przychodnie. Obecnie istnieje około 70 przychodni, z których tylko trzy przypada na Szwajcarję romańską. Ciekawe jest, że dyrektorowie, lekarze i kierownicy przychodni tworzą osobny związek, którego Zjazdy odbywają się corocznie. Na takich Zjazdach wygłaszane są referaty i wykłady z zakresu lecznictwa i opieki domowej, mające na celu nie tylko wzajemne dzielenie się wynikami osiągniętymi na miejscu, lecz i wypracowanie na podstawach przedstawionego materjału naukowych podstaw pracy, oraz informowanie się o mało znanych przypadkach klinicznych, o wynikach badań nad dziedzicznością alkoholizmu i t. p. Wpływ przychodni przeciwalkoholowych na życie społeczne jest tak silny i tak dodatni, że należy pragnąć, by powstawały coraz to liczniejsze ośrodki tej idejowej i kulturalnej pracy.

Przedewszystkiem zapobiegać...

Prof. Dr. J. Lange, w swym krótkim, ale niezmiernie przekonywującym artykuliku, stwierdza, że poczytywanoby za szaleńca każdego, ktoby ograniczał jedynie rolę walki z chorobami do leczenia jednostek chorych. Lecznictwo chorób wenerycznych i gruźlicy sięga głęboko ograniczeniami swemi i zakazami w życie indywidualne jednostki, mając na względzie zdrowych, których należy uchronić przed zarażeniem. Z drugiej strony medycyna zapobiega szerzeniu się np. cholery i ospy, stosując akcję profilaktyczną w całej pełni. Jedynie w stosunku do alkoholizmu, nie tylko, że nie zapobiegamy jego rozpowszechnieniu, lecz, przeciwnie, takie mamy warunki życiowe, że one doskonale ułatwiają „zarażenie się“ alkoholizmem każdemu, kto ma do niego bodaj najmniejszą skłonność. Gdybyśmy wszyscy usłyszeli i zrozumieli wielki, zbiorowy krzyk-skargę „zarażonych“ alkoholików na owe warunki obyczajowe, w których zaraza alkoholowa tak się szerzy swobodnie i bezkarnie, to może wówczas zbędnemi nawetby się stały „metody lecznicze“, bo nie byłoby zgoła kogo leczyć, gdyż ulepszone sanitarne warunki w zakresie obyczaju, nie pozwalałyby alkoholizmowi się rozwijać. Złymi bowiem lekarzami są ci, którzy leczą objawy chorobowe, nie interesując się samą chorobą, jej genezą i źródłem. (L'Abstinence).

Głos hiszpańskiego lekarza o walce z alkoholizmem.

Znamiennym jest głos hiszpańskiego lekarza dr. Varela de Seijas, dyrektora dwu zakładów psychjatrycznych w Guadalajara, podany przez „L'Abstinence“, jako przedruk z pisma, wychodzącego w Madrycie pod tyt. „ABC“. Stwierdza on, że większość czynów zbrodniczych popełnia się w stanie niepoczytalności i, że bardzo wiele wypadków chorób umysłowych, dokładnie nie rozpoznanych, zaliczyć należy do psychoz alkoholowych. Wskazują na to przeprowadzane badania genealogiczne chorego.

Małe zaś dawki alkoholu nasilają i komplikują rozmaite inne choroby umysłowe. Ogromna liczba dzieci pierworodnych anormalnych, idjotów, upośledzonych umysłowo, wykazuje ujemny wpływ odurzenia alko-

holowego, który często towarzyszy poczęciu. Trudność walki z alkoholizmem polega na istnieniu licznych, zakorzenionych przesądów, na braku elementarnego uświadomienia w społeczeństwie, które nie rozumie różnicy między pijakiem, a alkoholikiem. Ogromnie trudno jest przekonać pacjenta, że mniej szkodliwem jest dla jego zdrowia upicie się jednorazowe w długich odstępach czasu, aniżeli codzienne spożywanie pewnej ilości alkoholu, nie wywołującej bynajmniej zewnętrznych oznak upicia się. Doktór Varela de Seijas nawołuje do utworzenia Ligi przeciwalkoholowej w Hiszpanji, która obejmowałaby również kolejowców, szoferów i wogóle wszystkich motorniczych.

Humor winiarzy.

Wino krzepi. — Tego zdania są przyjaciele wina, którzy w jednym z pism kantonalnych podali następującą wiadomość: „Wino dla zwierząt. Z powodu nadprodukcji wina należy znaleźć nowych konsumentów. Doskonałe wyniki osiąga się, pojąc winem... konie. Wino dodane do otrębów i kukurydzy, działa piorunująco. Waga wzrasta o 20 kilo w ciągu tygodnia. Mało tego: pokarmy roślinne pokrapiane winem, czynią ze lwa wegeterjanina. Sprawozdawca tej wiadomości dowcipnie ubolewa, że stosowanie podobnej djetetyki do człowieka zamieniłoby go, niestety, tylko... w osła. (L'Abstinence).

Dla popularności...

Komuniści, deklarujący się naogół, jako przeciwnicy alkoholu, we Francji wystąpili w roli zgoła odmiennej. Stało się to w okolicznościach następujących: Kryzys dotknął we Francji m. in. tak licznych tam drobnych producentów wina — włościan, wskutek czego posiadają oni ogromne zapasy wina, na które niema nabywców. Winiarze ci stanowią wielką i zwartą massę — komuniści wystąpili w charakterze ich obrońców, wysuwając żądanie, aby rząd francuski każdemu żołnierzowi do racji żywnościowej dodawał obowiązkowo 1 litr wina dziennie! W ten sposób wzrośnie krajowe spożycie wina (i tak tam kolosalne), a zmniejszy się kryzys chłopów winiarzy... Czego się to nie robi dla popularności!

H. N. O. S.

PRZEGLĄD PRASY

Znana publicystka, p. *Zofja Zaleska* zamieściła w „Kurjerze Warszawskim" następujący artykuł:

POPIELISKO.

„Popielisko" p. Z. Herwichowej, to powieść tego typu, co „Kto winien" Rejtana, z tą różnicą, że tam jest spowiedź mężczyzny, który przez alkoholizm stoczył się na samo dno i — z tego dna się wydobył olbrzymim wysiłkiem woli, jakiego miary nie zna nienałogowiec. Tu — jest też spowiedź, ale kobiety, która musi patrzeć bezradnie na staczanie się kochanego człowieka, bo wszystkie jej wysiłki, poświęcenia, łamanie swojej ambicji dla ratowania go, nie dają żadnych wyników.

Powieść to, którą wiele kobiet mogłoby opowiedzieć z własnych przeżyć z mniejszemi, czy większemi odchyleniami, ale o podobnych sytuacjach, podobnych strasznych dniach, podobnych upokorzeniach, rozpaczach, całem tem piekle, przez jakie przechodzić muszą kobiety, mające w rodzinie alkoholików.

Akurat, gdy czytałam tę książkę, ogłoszono w gazetach nowe rozporządzenie ministra skarbu, ustalające liczbę miejsc sprzedaży alkoholu na 22.000 w kraju. I przytem — wzmiankę dziennikarską o... przeciwdziałaniu w ten sposób nielegalnej produkcji i nielegalnej sprzedaży alkoholu.

Eh, wartoby było taką informacją zamknąć „Popielisko". Zestawić to, co daje życie przy ułatwionych okazjach nabywania alkoholu, z tem przeciwdziałaniem nielegalnej drodze jego nabywania.

A możeby tak stowarzyszenia takie, jak „Trzeźwość" zajęły się statystyką, wykazującą, ile strat państwu przynosi alkohol? Takiego obliczenia w cyfrach niema. I — nawet, gdyby było zrobione, będzie niedokładne, bo nikt na pieniądze nie zdoła przeliczyć złamanych istnień, zmarnowanych zdolności, zaprzepaszczonych charakterów i tej krzywdy, tej palącej krzywdy rodzin, o której... potrafiłyby mówić tylko te kobiety, tylko te dzieci, które przez piekło przeszły lub przechodzą.

Nie darmo na całym świecie tyle kobiet przeklina alkohol. Nie darmo one żądają prohibicji, jako ratunku, nie oglądając się na to, że zawiodła ona w Stanach Zjednoczonych, gdzie nietylko proceder butlegerów, ale porywanie dzieci, ale wymuszanie okupów od sławnych aktorów, ale rządy Al Caponeów są w miastach na porządku dziennym. Nie jesteśmy Ameryką. U nas nie stać ludzi na te ceny, które brali butlegerzy. Pokątne produkcje nie dają takich zysków, by aż zapanowały amerykańskie stosunki.

Dobrze, że ukazują się takie książki, jak ta, która dała p. Herwichowa. Nie moją rzeczą jest dawać literacką ocenę, ale wolno mi podkreślić jej propagandowe znaczenie, jej bezpośredniość wrażeń i konieczność zwrócenia na nią uwagi. Niema tam sztucznych sytuacji, jest poprostu kinematograficzny obraz życia, dobrze podpatrzonego przez autorkę. Obraz życia nie ze sfery robotniczej, tylko inteligenckiej, o której do czasu książki Rejtana milczano w takich opowieściach.

Życie daje takie „nadzwyczajne" tematy i obrazy, że przewyższają one najbujniejszą wyobraźnię. A już zagadnienie nałogu daje „sensacji" bez liku. „Popielisko" będzie miało swoją dobrą kartę w historji walki z alkoholizmem w Polsce.

KSIĄŻKI SZKOLNE NA KERCELAKU.

Młodzież szkolna rozpoczyna naukę. Jedni wrócili z wakacyj, spędzonych w kolonjach, inni — z dostatnich wywczasów pod okiem rodziców. Są i tacy, których policzków nie okrasza zdrowa opalenizna — zostaną anemiczni i bladzi na cały przyszły rok, zawsze smutnawi i trochę ospali. Dla tych powrót do szkół oznacza nie koniec zabaw, ale... początek otrzymywania szkolnych śniadań. Niekiedy głównego pożywienia na cały dzień.

Więc te dzieci wesołe i smutne, tęgie i niedożywione zabierają się do pracy. Mają teraz wszakże, na samym początku roku, ogromną troskę: książki szkolne. Na dzie-

dzińcu szkół odbywają się prawdziwe jarmarki. Tam, gdzie nad uregulowaniem sprzedaży, czy wymiany książek czuwa wnikliwy i rozumny wychowawca lub inteligentniejsi rodzice, wszystko odbywa się składnie i bez gorszących scen. Ceny są wyznaczone, nabywców jest tyluż, co sprzedających. Nie widzi się tam niezdrowo rozpłomienionych oczu i nie zakwita pierwszy kwiatek... nieuczciwości. Ale inaczej, zgoła inaczej, jest na przedmieściach, na placykach i ulicach brudnych, gdzie samodzielności młodzieży pozostawiono zbyt wiele pola do popisu.

Oto na placyku, tuż obok Kercelaka, dziatwa z Żelaznej, Leszna, Wroniej, czy tegoż Kercelaka, również sprzedaje i zamienia podręczniki szkolne. Wszystkie obyczaje — tego warszawskiego sławetnego rynku zbytu kradzionych rzeczy, jarmarku biedoty i występku — przejęły dzieci. I z jaką lubością? Ile znakomicie podpatrzonych cech niesumienności starszych zdołało się już zagnieździć w tych młodych duszach!

Są sposoby na oszukiwanie „głupich dziewczyn", koleżanek ze szkół powszechnych. Praktykuje się wklejanie tytułowych kart z nową datą do starych i wycofanych z obiegu książek. Kwitnie konkurencja zajadła, aż do rękoczynów. I — najautentyczniejsze to! — *od niektórych dzieci czuć wódkę!*

Bardzo to pięknie wyrabiać samodzielność w dzieciach, rodzicom też przydadzą się oszczędności w tak ciężkich chwilach znacznych wydatków, — ale możeby się ktoś tem zajął bliżej i nie pozwolił, by 10-letniego brzdąca rozpierała duma spowodu pomyślnie przeprowadzonej, a nieuczciwej tranzakcji. Dokoła malców stoją dorośli i... dopingują dzieci, wydając swe fachowe sądy o „wyszczekanym cwaniaku".

Nie dobrze.

(„Kurj. Por." 12.IX. 35).

NASZA DUMA I NASZE BOLĄCZKI. Pod tym tytułem podaje „Świat" następującą notatkę: „Statek „Piłsudski" jest piękny. Jest nowoczesny. Jest ukochanem dzieckiem całej Polski. Zdał egzamin swej pierwszej podróży na piątkę.

Ale publiczność?

Pasażerowie?

Jak mówią naoczni świadkowie, zachowanie się publiczności na statku przypominało inwazję hord barbarzyńskich. Półnagie damy, pijani gentlemani rzucali się do stołu, jakby przez rok nic w ustach nie mieli. Nie jedli — żarli. Słyszało się uwagi: „Salcia, weź więcej, przecież to i tak zapłacone".

Polskie Radjo swemi skandalicznemi reportażami tej podróży też przejdzie do historji.

Słowem — stworzyć piękne ramy, to nie dosyć. Trzeba jeszcze mieć kogo w te ramy — oprawić. Ale na to chyba trzeba będzie całych pokoleń, aby się niektórzy Polacy nauczyli zachowywać przyzwoicie w miejscach publicznych".

Tak, tak, anemiczne nasze drzewo kultury, pieczołowicie podlewane czystą „wyborową" i czystą zwykłą, takie oto kwiatki wydaje, które ohydą swoją rażą i zdumiewają nie tylko „przysięgłych" abstynentów...

ROZMOWA Z WYDAWCAMI.

W roku 1936 przypada, o ile się nie mylę, pięćsetlecie drukarstwa. Będzie to wspaniała, zaiste, rocznica. Cała słodycz cywilizacji unaoczni się nam plastycznie. Nazwisko Guttenberga znowu zabłyśnie. Ja osobiście już się przygotowuję do jaknajuroczystszego obchodzenia wiekopomnego wynalazku druku. Jak sobie wyobrażam ten obchód? Zaraz wam powiem.

Przedewszystkiem utrefię sobie włosy, namaszczę wonnościami ciało, przywdzieję szaty godowe i wezwę do siebie wszystkich polskich wydawców.

— Szanowni panowie — powiem. — Musimy wszyscy zgodnie i godnie uczcić 500-lecie wielkiego Niemca! Zgadzacie się ze mną?

— Zgadzamy! — zawołają chórem.

— A zatem — uśmiechnę się do nich. — Weźmiemy żerdzie i drągi, kamienie i gwichty żelazne, i ruszymy ławą na drukarzy, drukujących świństwa, tudzież na wydawców, wydających te świństwa...

(Ach, mój Boże... Spojrzę, a tu się zastęp wydawców i drukarzy nagle przerzedza i wielu kłusem bieży do swoich oficyn i składów!)

— ...Następnie, zaopatrzymy się w bańki z naftą i benzyną i podpalimy wesoło wszystkie księgarnie, wystawiające w swych witrynach pornografję, krwawe bujdy i szmoncesy...

(Ach, mój Boże... Spojrzę, a tu mi się, z przepołowionego zastępu wydawców i księgarzy znowu pokaźna ilość wykruszy — i kopnie się do swoich sklepików, z okrzykami: „Gore!").

— ... Wreszcie — zakończę. — Ustawimy szubienicę ogromną i na tej szubienicy obwiesimy wszystkich spekulantów, karmiących publiczność polską lichymi przekładami najgorszych dzieł obcych, podczas, gdy polscy autorzy przymierają głodem...

(Ach, mój Boże... Spojrzę, a tu mi się nieliczna pozostała garstka słuchaczów jeszcze bardziej przerzedzi i zostanie na placu zaledwie kilkunastu ludzi).

— O! — odpowie mi smutnym, znużonym głosem przedstawiciel Kasy Mianowskiego. — Najwyższy czas brać się do tych szkodników... Ale czy to co pomoże?

— O, — zatrzęsie głową siwą Akademja Umiejętności. — Jakże to my, biedacy, rozporządzający groszami na szerzenie wiedzy i kultury, zdzierżymy przeciwko tak licznej hałastrze?

— O, — westchną uniwersytety. — Pięknieby to było, gdyby nastał wreszcie renesans poważnej książki polskiej. — Ale czy społeczeństwo nas poprze?

— O, — jękną ciała profesorskie. — Gdyby choć 10 procent zapału, oddawanego sportom, oddano w Polsce w i e d z y...

— O, — jękną artyści. — Gdyby choć 10 proc. pieniędzy, trwonionych na alkohole i narkotyki, obrócono na dzieła natchnienia...

*

Więc posypię głowę popiołem, wdzieję wór pokutniczy i udam się na puszczę. Lecz i tam będą mnie dochodziły niesamowite ryki reklamy, zalecającej dorosłym i młodzieży abonowanie szmat „detektywnych", albo nabywanie na raty „seksualistycznych" encyklopedji...

I ogarnie mnie smutek głęboki, gdy uprzytomnię sobie ponownie, że większości klasyków polskich niema już na rynku, że najlepsze dzieła są oddawna wyczerpane, a na nowe nakłady jakoś nikt się zdobyć nie może...

Więc zapłaczę gorzko. I wyjdzie, przewalając się z nogi na nogę, wielki niedźwiedź, mieszkaniec leśnych gęstwin, przyjaciel pustelników.

— Do djabła z Guttenbergiem — zamruczy: — Do djabła z książkami! Do djabła z cywilizacją! Schrońmy się lepiej wszyscy do lasów, zrównawszy z ziemią zgniłe miasta!

Westchnę tylko i poklepię go ze zrozumieniem po kudłatej łopatce.

Sęk.

„Kurjer Warszawski".

ANGIELSCY „STARUSZKOWIE".

O charakterze i usposobieniu Anglików możnaby pisać całe tomy; tak bardzo różni są od nas, tak nas interesują, ale... na to, żeby ich rozumieć, trzeba tu pomieszkać dłużej. Dwa miesiące, które spędziłam w Anglji, to zaledwie rzut oka, to szereg spostrzeżeń, parę podchwyconych momentów — ale nie materjał do wydawania sądów o ludziach.

Jest tu jednak pewna grupa ludzi, którzy ciekawią mnie, nawet bez specjalnego zagłębiania się w studjowanie ich charakterów. Angielscy staruszkowie i staruszki.

Gdybyż oni mogli rozumieć znaczenie słowa „staruszek"! Napewno byliby obrażeni. W słowie tem jest coś starczego, trzęsącego się, bezradnego, pewna doza politowania... czyli coś zasadniczo z charakterem Anglików niezgodnego.

Tutaj ludzie starzy (t. zn. między 70 — 90-ką) niemal w niczem nie przypominają swoich polskich rówieśników. Ażeby choć w zarysie przedstawić typ starego Anglika, przytoczę tu parę przykładów z życia ludzi, których tu w Cambridge poznałam.

*

Brat i siostra. Oboje koło osiemdziesiątki. Mieszkali dawniej w Walji, ostatnio przenieśli sę nad morze na wschód.

— Co się stało? Czy musieli państwo zmienić mieszkanie? Co was zmusiło do takiej bądź co bądź męczącej przeprowadzki?

— Zmusiło? Nas? Ależ myśmy już mieli dosyć tamtego domu. Chcieliśmy coś nowego. Zbudowaliśmy z bratem domek nad morzem — jeszcze nie jest zupełnie urządzony. Jesteśmy pełni planów na przyszłość: po wykończeniu domu chcemy założyć ogród...

Ludzie koło osiemdziesiątki: pełni planów na przyszłość! A u nas? Często słyszy się zdania: „eh, co ja tam będę plany robił na przyszły rok, starość się zbliża, a bo to człowiek dożyje..." Albo: „... już siódmy krzyżyk dźwigam na grzbiecie, to już jakby się jedną nogą na tamtym świecie stało"... No, czy nie jest tak? Czy to nie jest dobrowolne schodzenie do grobu za życia? Czy to właśnie nie jest starością? — wyrzeczenie się życia, odsuwanie się od niego.

Anglicy też dobrze wiedzą, że muszą umrzeć, ale to ich nie przytłacza, nie absorbuje. Nie myślą wciąż o tem. Oni ż y j ą do śmierci. Dlatego są wiecznie młodzi.

*

Dziewięćdziesięcioletnia Angielka z zamożnej sfery (jedna z pierwszych kobiet, które ukończyły uniwerystet w Cambridge), należy do wielu stowarzyszeń. Pracuje w bibljotece, gdzie pomaga studentom w wyborze książek, służy radą, wskazówkami, oraz wieloletniem doświadczeniem. Pewnego dnia gorzej się czuje. Siada na rower (tak: siada na rower — tu do 50 — 60 lat jeżdżą na zwykłych rowerach, potem na trzykołowych!) i jedzie do doktora.

— Nie będzie pani mogła jeździć na rowerze; trzeba się poleczyć.

— Nie mogę jeździć na rowerze? Trudno, muszę kupić auto, przecież nie mogę opuszczać pracy, zresztą nie lubię bezczynności.

Po paru dniach można ją było widzieć, jak w nowem aucie zajechała przed gmach bibljoteki.

Pomijam fakt, że ludzie w tym wieku jeżdżą na rowerach, prowadzą auta i t. p (choć jest to dla mnie zupełnie niezrozumiałe). Chcę zwrócić uwagę na to, że tu starzy ludzie pracują. Chcą i mogą pracować. Należą oni zawsze do paru stowarzyszeń: naukowych, kulturalnych, dobroczynnych: mają swoje dyżury, czasem prócz tego pracę. Bogatsi wkładają nieraz całe fortuny w organizacje, których są członkami, biedniejsi — własną pracę.

U nas ludzie w tym wieku są przeważnie nieszczęśliwi. Nie mają co robić, niezdolni są do pracy, a nawet, gdyby mogli pracować, nie mają gdzie. I tak przesiadują w domu, biadają nad swym losem, często stają się zgryźliwi, bo i życia wesołego nie mają. Będąc często ciężarem w rodzinie, marzą o śmierci. Czy to nie straszne? Dopiero, gdy tu zobaczyłam, jak szczęśliwymi mogą być ludzie starzy, jaskrawiej uwidoczniła mi się beznadziejna wegetacja naszego najstarszego pokolenia. *Wszystko dla młodych, bo do nich świat należy! — to nie jest słuszne i Anglja to rozumie.* Trzeba dbać o wszystkich — nasuwa się mimowoli analogja z uprzejmością: w Polsce rycerskość wobec dam — tu wobec wszystkich; opieka i pomoc dla młodzieży — w Anglji dla wszystkich! I to jest ta największa różnica.

*

Weźmy gazetę do ręki. Między innemi: „Mr. J. H. Peters ukończył 70 lat. Ojciec jego, gdy swego czasu doszedł do tegoż wieku, przeszedł w dzień urodzin 30 mil ang. Mr. Peters jnr., chcąc podtrzymać tradycję „urodzinowego marszu“, przeszedł w dniu dzisiejszym 33 mile“.

Czy ten „marsz“ to mądry zwyczaj, czy nie — mniejsza z tem. Fakt faktem, że 70-letni Anglik idzie sobie spacerkiem 33 mile!

*

Biedna staruszka znajduje się stale pod opieką lekarza. Słaba, chorowita, niezdolna do pracy. Potrzebny jej był: masaż, spacery (na wózku) i, o ile możliwe, lektura — rozmowa. Jak temu zaradzono? Kto się nią zajął?

W Anglji w takim wypadku doktór dzwoni do odpowiedniego stowarzyszenia, mówi o potrzebach chorej. Natychmiast zgłasza się szereg kandydatek. Kto one są? Kto? — właśnie angielskie staruszki. Po kilku dniach jedna z nich masowała chorą; druga czytała jej; trzecia woziła na spacery. Tak, panie z towarzystwa nie wstydzą się iść do ubogich domków i nieść pomoc chorym. Nie przynosi ujmy żadnej zamożnej damie pchać wózek z kaleką i, siadłszy koło niej w parku, czytać na głos książkę czy gazetę.

Chętnych do pomocy chorym nigdy tu nie brak, ludzie nie umieją tu przejść obojętnie obok czyjegoś nieszczęścia.

Widać to po nich. Źli ludzie, samolubni, nie mogą tak promiennie spoglądać na świat. Bo człowiek, który przeżył tak wielki szmat życia, nic z siebie innym nie dając, nie będzie miał jasnych, dziecinnych oczu i serdecznego uśmiechu.

Uczmy się od nich być dobrymi, a życie da nam więcej radości i dłużej własną dobrocią będziemy młodzi.

(„Kurj. Warsz.“ 5.IX. 35 r.). *Halina Kopciówna.*

ROZMOWA POMIĘDZY PANEM A SZYNKARZEM.

Wlokę się do najbliższej wsi. Upał: conajmniej 40° w cieniu. Ale na szczęście na horyzoncie widać już przysadzisty dom, otoczony drzewami. To z pewnością karczma...

Przeczucie nie myli mnie. Ogromny napis: piwo, wódka, oraz reklamy najrozmaitszych czekolad wskazują niedwuznacznie, że stoję przed zajazdem. Niestety, drzwi zamknięte na cztery spusty. Zamiast gospodarza, wita mnie olbrzymi kundel, próbując dostać się do moich łydek. Odpędzam go zręcznie kijem.

Na szczęście zjawia się gospodarz, a raczej gazda, bo rzecz dzieje się na Podhalu, w zapadłym kącie, za górami i lasami.

— Dlaczego szynk macie zamknięty? — pytam górala.

— A bo po co otwierać, kiej i tak nikt nie przyjdzie.

— To tu tak wszyscy ślubowali od wódki?

— Kie ta ślubowali! Piliby, ale nie mają za co. Wódka, panie, i piwo drogie, że strach. Sześćdziesiąt groszy za bombę, a tymczasem jajo kosztuje u nas dwa grosze.

— Co? Dwa grosze?

— A tak, na to chłop musi przynieść 30 jaj, żeby wypił piwo. Trzydzieści jaj— to kura musi nieść bez cały miesiąc.

— Więc nie piją?

Karczmarz rozejrzał się podejrzliwie dokoła. A potem zaczął ciągnąć szeptem:

— Przed wojną, to wiecie panoczku, nikt u nas nie słyszał o samogonce. Nawet najstarsi ludzie. Bo poco miał kto sam robić „antkohol", jak za guldena — tojest dwa złote — kupił liter najlepszej gorzałki. A teraz — co dom, to fabryka...

— Jaka fabryka?

— Ee, pan ta wi. Przedtem to ino, pod „ruskim", niby w Kongresówce robili.

Ilustr. Kurjer Codź. 30.VI. 35.

*

W miesięczniku „*W Służbie Zdrowia*" wydawanym pod red. p. Dr. Juljana Birenewajga w Nr. 4 — 5 b. r. umieszczona została ocena pracy p. Kazimierza Hrabina „Narkomanje w Szkole" p. t.: „Doniosła broszura", napisana przez p. red. J. Szymańskiego. W Nr. 2 miesięcznika „*Polski Czerwony Krzyż*" podany został artykuł o alkoholizmie p. red. J. Szymańskiego p. t. „Źródło życia czy śmierci?"

ZJAZD DELEGATÓW KÓŁ TOW. „TRZEŹWOŚĆ"
dn. 29 i 30.V. 35 r.

Streszczenie sprawozdania.

Zjazd odbył się przy licznym udziale delegatów i zaproszonych gości.

Wieczorem dn. 29 maja odbyło się w lokalu Towarzystwa otwarcie Wystawy Przeciwalkoholowej i następnie zebranie towarzyskie.

Wystawę otworzył krótkiem przemówieniem Prezes Zarządu Gł. p. Kazimierz Kalinowski. Wystawa urządzona pod artystycznem kierownictwem artysty malarza, p. Czesława Kaczmarczyka, sprawiła bardzo miłe wrażenie. Zwracały uwagę wyroby Warsztatów Państwowego Zakładu Leczniczego w Świacku — prawdziwie artystyczne wyroby z drzewa, również interesujące były wystawione wyroby pacjentek w Państwowym Zakładzie Leczniczym w Gościejewie.

Podczas zebrania towarzyskiego wygłoszono kilka przemówień — szczególne wrażenie wywarło przemówienie b. Sen. p. Tomasza Nocznickiego.

We czwartek dn. 30 po nabożeństwie w kościele św. Krzyża, po którem b. serdeczne i głęboko odczute słowo od ołtarza powiedział ks. prałat Wincenty Balul, uczestnicy Zjazdu udali się do lokalu Tow. w Rynku St. Miasta. Zjazd zagaił p. Prezes Z. Gł. Kazimierz Kalinowski podniosłem przemówieniem, zaznaczając, że zebraliśmy się na nasze coroczne obrady w dniach ciężkiej żałoby narodowej; wobec śmierci Tego, Którego życie było jednem pasmem wysiłków w pracy nad wyzwoleniem i odrodzeniem Polski, musimy sobie solennie przyobiecać, że w naszej codziennej działalności będziemy w miarę naszych sił strzegli tych ideałów, które Wielki Budowniczy Polski Niepodległej zostawił nam wszystkim w swoim testamencie. Jako reprezentant Zarządu Gł. Tow. Trzeźwość, mówca brał udział w żałobnych uroczystościach w Krakowie i nie może zapomnieć potężnego wrażenia, jakie na wszystkich wywarła ta kolosalna manifestacja solidarności Narodu u trumny swojego Wodza. W pogrzebie Marszałka Piłsudskiego uczestniczyła cała Polska.

Następnie p. Prezes omówił ważniejsze momenty działalności Towarzystwa za rok sprawozdawczy.

Na propozycję p. Kalinowskiego na przewodniczącego Zjazdu wybrano p. Dr. Henryka Zajączkowskiego, Dyrektora Państw. Zakładu Leczniczego dla nerwowo-wyczerpanych w Świecku; — do Prezydjum zostali wybrani p.p.: ks. prałat Balul, Dyrektor Dr. Deresz, Naczelnik Dr. M. Eberhardt, Naczelnik Dr. H. Palester, Dr. A. Kuropatwiński (Drohiczyn Pol.), sen. T. Nocznicki, Dr. Steffen, Dr. St. Stypułkowski, Dr. K. Kulejewska (Wilno), Dr. St. Leszkiewicz (Kowel), Inż. Szadziewicz (wiceprezes Z. Gł. A. L. K.), Marja Moczydłowska-Niekraszowa, Leokadja Bystrzejewska, Dr. J. Neczaj Hruzewicz, Dyrektor Państw. Zakł. Leczn. w Gościejewie, Dr. K. Jasielewicz, Inż. J. Lux, Dr. Karol Mitkiewicz, Prezes K. Kalinowski, sen. A. Iżycki, Ziemiański i red. J. Szymański.

Poczem referaty wygłosili p.p.: *Doc. Dr. G. Szulc*, Dyr. Państw. Zakł. Higjeny— „Alkohol, a zagadnienie wychowania fizycznego", red. J. Szymański: — „Poglądy Ignacego Krasickiego na sprawę pijaństwa — w 200-letnią rocznicę Jego urodzin i Dyrektor Dr. H. Zajączkowski: — „Z doświadczeń i obserwacyj nad lecznictwem alkoholików i narkomanów". (Referaty powyższe podaliśmy w Nr. 6—7 Trzeźwości). Po wspólnym obiedzie uczestników Zjazdu nastąpił dalszy ciąg obrad: Odczytany został i przyjęty protokół poprzedniego Zjazdu, poczem zostało złożone przez p. Herwicha sprawozdanie Zarządu Gł. kasowe i z działalności za rok 1934.

P. Dr. St. Stypułkowski w im. Komisji Rewizyjnej postawił wniosek o udzielenie Zarządowi Gł. absolutorjum, co bez dyskusji zostało jednomyślnie uchwalone. Następnie p. sen. Aleksander Iżycki wygłosił referat p. t.: „Nasze obowiązki wobec uleczonych alkoholików i narkomanów". Referat wywołał niezmiernie ożywioną i długotrwałą dyskusję (obszerne streszczenie referatu p. sen. Iżyckiego i dyskusji — podaliśmy w Nr. 6—7 Trzeźwości).

Poczem składali szczegółowe sprawozdanie delegaci Kół i pokrewnych organizacyj p.p.: Kalinowski w im. Kół Okręgu Krakowskiego, Dr. Kulejewska w im. Tow. „Mens" z Wilna, Dr. St. Leszkiewicz z Kowla, Dr. Staniewiczowa z Włocławka, Klara Leszczyńska z Kozienic, dalej delegaci Kół: Mokotowskiego, Annopolskiego, Chełmskiego, p. Uklejówna, Puzewickiego, Koła „Szarotki" w Kaliszu (p. St. Sternjotówna), w Choroszczy (p. Bobrowski), w Pruszkowie (p. Dr. Steffen).

Po dyskusji nad sprawozdaniem delegatów Kół i uchwaleniu rezolucji Zjazdu (patrz Nr. 6—7 „Trzeźwości") i dokonaniu wyborów uzupełniających do Zarządu Gł. Towarzystwa, Przewodniczący Dr. Zajączkowski Zjazd zamknął.

Skład Zarządu Głównego:

Prezes: Kazimierz Kalinowski, Wiceprezesi Aleksander Iżycki i J. Szymański, Sekretarz Dr. Wiktor Borkowski, Skarbnik M. Herwich, członkowie: ks. prałat W. Balul, Z. Herwichowa, Doc. Dr. Gustaw Szulc, mec. A. Zaniewicz, Z. Kępska, Dr. H. Zajączkowski, Dr. Steffen.

Sekretarzowali na Zjeździe pp.: Czyrycka i M. Klimowicz.

Telegramy i listy z życzeniami na Zjazd nadesłali pp.: Dr. Karol Zaleski z Sanoka, ks. Józef Janiszewski z Potulic, prof. Dr. Paweł Gantkowski z Krynicy, Dr. Garbaczewski z Lublina, Helena Gogulska z Zakopanego, Dr. St. Serkowski z Warszawy, mec. Józef Zmitrowicz, prof. Dr. St. Władyczko i Dr. Gensel z Wilna, Dr. Antoni Rząd z Warszawy, Inż. J. G. Kossowski (Stanisławów), prof. Sygnarski (Bydgoszcz), Dr. J. Notz, Prezes A. L. K. (Lwów), Pol. Liga Przeciwalk. red. Tomaszewski (Poznań), Nacz. Wydź. Zdr. P. Dr. St. Skalski (Łódź), Nacz. Wydź. Zdr. P. dr. Zaroski (Poznań), Pol. Liga Przeciwalkoholowa ks. Dr. J. Ciemniewski (Poznań), Paweł Letniowski (Stanisławów).

KRONIKA.

X-ty KURS ALKOHOLOGJI odbędzie się w Państwowej Szkole Higjeny w Warszawie w dniach od 2-go do 7-go grudnia b. r. — Bliższe szczegóły o Kursie znajdują się w programie Kursu na str. 480.

Ze swej strony gorąco zachęcamy tych wszystkich, którzy pragną dokładnie zapoznać się z zagadnieniem alkohologji, do uczęszczania na Kurs, gdyż tylko systematyczny cykl wykładów może dać dokładne pojęcie o zagadnieniu alkoholizmu.

WYSTAWA HIGJENICZNA W LUBLINIE została urządzona staraniem miejscowego oddziału Pol. Tow. Higjenicznego przy czynnym współudziale Wydziału Zdrowia Urzędu Wojewódzkiego z p. Dr. J. Danielskim na czele. — Na zaproszenie Komitetu organizacyjnego Tow. „Trzeźwość" urządziło dział walki z alkoholizmem, powierzając artystyczną jego stronę artyście-malarzowi p. Czesławowi Kaczmarczykowi.

JUBILEUSZ PROFESORA BR. KOSKOWSKIEGO. Dziekan Wydź. Farmaceut. prof. Bronisław Koskowski obchodził niedawno 50-lecie swej niezwykle owocnej pracy zawodowej. Obchód jubileuszowy, urządzony przez Tow. Farmaceutyczne odbył się dn. 12 października. Zasłużonemu uczonemu i wybitnemu działaczowi społecznemu, prawdziwemu przyjacielowi naszego ruchu, redakcja Trzeźwości składa serdeczne życzenia dalszej najdłuższej i najpomyślniejszej pracy.

W POWIECIE CZĘSTOCHOWSKIM, jak donosi „Polonia" 10.VIII. 35 panuje alkoholizm i eteryzm:

„*Ludność całego powiatu Częstochowskiego zatruwa się eterem*".

Z Częstochowy donoszą, że w miasteczku Działoszyn i okolicy w nieprawdopodobny sposób szerzy się pijaństwo. Zamiast wódki, ludzie piją eter, który wypity już w niewielkiej ilości wywołuje odurzenie. Eter, którym ludzie trują organizm, zażywany jest masowo, nietylko przez mężczyzn, lecz i kobiety, a nawet dzieci.

Niema domu, w którymby nie pito eteru, nazywanego przez wieśniaków „kroplami". Handel trucizną sprowadzaną masowo z Niemiec, przez zieloną granicę, znajduje się wyłącznie w rękach żydów — właścicieli sklepików.

Ponieważ zatruwanie się eterem, zagraża zdrowiu ludności i stanowi prawdziwą klęskę społeczną, władze wydały szereg zarządzeń przeciwdziałających, które, jak dotąd, okazały się niedostateczne. Należałoby roztoczyć ścisłą kontrolę nad handlarzami trucizną i pijaństwo, które może spowodować nieobliczalne następstwa, zdusić w zarodku".

WAGON - WYSTAWA ABST. LIGI KOL. DO WALKI Z ALKOHOLIZMEM I INNEMI CHOROBAMI SPOŁECZNEMI — czynny był w Warszawie na Dworcu Wileńskim od 13 do 25 października i cieszył się stosunkowo bardzo znaczną frekwencją — dziennie zwiedzało wagon przeszło 1.000 osób. Odpowiednie odczyty ilustrowane przezroczami wygłaszał na wystawie p. Dr. Mieczysław Dehnel. — Na zaproszenie Zarządu Koła Warszawskiego A. L. K. zwiedził wystawę p. Dyrektor Departamentu Służby Zdrowia M. O. S., Dr. Jan Adamski w towarzystwie Naczelnika Wydziału p. Dr. H. Palestra, p. Dra. Stanisława Tubiasza, p. red. Szymańskiego, ref. do spraw walki z alkoholizmem i p. Ireny Chojnackiej. — Z Warszawy Wagon - Wystawa udał się na objazd ważniejszych stacyj Warszawskiej Dyrekcji P. K. P.

ZAKAZ. W związku z wyborami do Sejmu dn. 8.IX, wydany został zakaz wyszynku i sprzedaży w restauracjach i sklepach — zakaz obowiązywał do g. 12 w południe dnia następnego.

ś. p. ARTUR HENDERSON.—Dn. 20 października zmarł w Londynie przewodniczący międzynarodowej Konferencji rozbrojeniowej. Urodzony w Glasgow w r. 1863 był początkowo tokarzem, później został kaznodzieją kościoła metodystycznego, był liberałem, później wybitnym członkiem angielskiej Partji Pracy (Labour Party) i jej

sekretarzem generalnym (1911 — 1934). Był ministrem spraw zagranicznych. Jako członek Zak. Dobr. Templarjuszy, zawsze był wierny zasadom wstrzemięźliwości.

HARCERZE I PIWO. — Podczas jubileuszowego Zlotu Harcerstwa Polskiego w Spale sprzedawano piwo; podobno tylko gościom; ale w każdym razie nie było to w porządku, nie było to zgodne z *prawem harcerskiem*. A któż ma się uczyć w Polsce przestrzegania *prawa*, jeżeli nie harcerze? Skoro dopuszcza się do tego, że „elita" młodego pokolenia lekceważy prawo — to, co się stanie z poczuciem prawa, które ma nami rządzić?!...

PISMO OKÓLNE MINISTERJUM OPIEKI SPOŁECZNEJ

z dnia 5 października 1935 r. Nr. Zn. 3c/50-5.

O kursie alkohologji.

Do

Panów Wojewodów i Pana Komisarza Rządu na m. st. Warszawę.

Ministerjum Opieki Społecznej komunikuje, że organizuje w Państwowej Szkole Higjeny w dniach 2.XII. — 7.XII. r. b. X kurs p. t. „*Alkoholizm i jego zwalczanie*".

Program kursu ujmuje zagadnienia alkoholizmu z punktu widzenia społeczno-lekarskiego oraz wskazuje systemy zwalczania tej klęski. Wykłady odbywać się będą codziennie w godzinach 9 — 1 i 16 — 19 w gmachu Państwowej Szkoły Higjeny ul. Chocimska 24. Kurs jest bezpłatny, wpisowe wynosi 4 zł.

Dla pewnej liczby słuchaczów Ministerjum przewidziało stypendja w wysokości 50 zł., a Państwowa Szkoła Higjeny rezerwuje miejsca w swej bursie za opłatą 4 zł. dziennie (mieszkanie i utrzymanie).

Podania o przyjęcie na kurs oraz o przyznanie stypendjów kierować należy do Państwowej Szkoły Higjeny, Warszawa ul. Chocimska 24, do dnia 22.XI. r. b. włącznie.

Do podania, zawierającego dokładny adres kandydata, należy dołączyć krótki życiorys, zawierający dane o dotychczasowej działalności, zwłaszcza społecznej, i zaświadczenie instytucji lub organizacji, delegującej kandydata.

O przyjęciu na kurs i ewentualnem przyznaniu stypendjum kandydaci zostaną zawiadomieni przed dniem 30.XI. 1935 r.

Podając powyższe do wiadomości, Ministerjum Opieki Społecznej prosi — Pana Wojewodę (Pana Komisarza) o zawiadomienie o tem PP. Starostów, lekarzy powiatowych, kierowników Ośrodków Zdrowia oraz organizacyj i instytucyj społecznych, zainteresowanych tą sprawą, celem ułatwienia zainteresowanym wzięcia udziału w kursie.

Dyrektor Departamentu:

(—) *Dr. J. Adamski.*

PAŃSTWOWA SZKOŁA HIGJENY.

X-ty KURS ALKOHOLOGJI p. t.

„Alkoholizm i jego zwalczanie".

2.—7.XII. 1935.

Godz.

1. WYKŁAD WSTĘPNY. — Kazimierz Kalinowski 1
2. PRODUKCJA I SKŁAD CHEMICZNY NAPOJÓW ALKOHOLOWYCH. — Dyrektor Bronisław Duchowicz 1
3. DZIAŁANIE ALKOHOLU NA ORGANIZM LUDZKI. — Dyr. Dr. Eugenjusz Wilczkowski 4
4. CZY ALKOHOL JEST POŻYWIENIEM. — Doc. Dr, Gustaw Szulc, Dyrektor Państwowego Zakładu Higjeny 1



